

KAROL MAY

Grobowiec Rodrigandów

Zawartość

ZABAWNA PODRÓŻ.....	3
JAK SĘPI DZIÓB DOTARŁ DO VON BISMARCKA.....	19
Z BARCELONY DO VERACRUZ	39
W PRZEBRANIU.....	52
W GROBOWCU	71

ZABAWNA PODRÓŻ

Odprowadzony przez tłum ludzi, Sępi Dziób powędrował na dworzec. Przeczytał napisy na drzwiach, kupił bilet pierwszej klasy, ale aż do odejścia pociągu siedział w poczekalni klasy trzeciej. Wyszedł na peron tuż przed odjazdem. Zauważył, że jest tylko jeden przedział pierwszej klasy. Konduktor, do którego się zwrócił, spojrzał nań ze zdziwieniem, sprawdził dokładnie bilet i rzekł:

- No, wsiadaj pan szybko! Odjeżdżamy.

Dziwny pasażer wraz z workiem i futerałem wgramolił się do przedziału. W tej samej chwili parowóz gwizdnął, drzwi się zatrzasnęły i pociąg ruszył.

- Do stu diabłów! - przywitało myśliwego przekleństwo. - Co mu do głowy strzeliło?!

Zawołał to jedyny pasażer w przedziale - nikt inny tylko podporucznik Ravenow.

- Nie obchodzi go - mruknął Sępi Dziób. Odłożył bagaż i rozsiadł się wygodnie. Ale były oficer pytał dalej:

- Czy ma aby bilet pierwszej klasy?

- Też go nie obchodzi.

- Owszem, obchodzi. Muszę się przekonać, czy miał prawo tu wsiąść.

- Niech będzie zadowolony, że ja go o nic nie pytam. To zaszczyt dla niego, że zgadzam się na jazdę w jego towarzystwie.

- Drabie, nie mów do mnie „on”! Jeśli chce jechać pierwszą klasą, to powinien przyswoić sobie przyjęte formy, inaczej każę go usunąć.

- A więc wzięłby raczej bilet czwartej klasy, niż jechał ze mną w pierwszej? Tak wysoko ceni formy? Kto zaczął mówić przez „on” - ja czy on? Jeśli mnie sprowokuje, nie mnie, ale jego wysadzą!

- Do stu piorunów! Czy mam cię spoliczkować, gałganie?

- Mogę służyć tym samym. Oto próbka!

Błyskawicznie zamierzył się i tak potężnie zdzielił podporucznika, że ten uderzył głową o ścianę.

- To za gałgana - roześmiał się traper. - Jeśli ma na zbyciu podobne słówko, gotów jestem do ponownej odpowiedzi.

Von Ravenow rzucił się na trapera. Sępi Dziób chwycił go lewą ręką za pierś, wcisnął w kąt i wypoliczkował prawą, rzucił na siedzenie.

- W Niemczech - zauważył zgryźliwie - w przedziałach pierwszej klasy przyjemnie się rozmawia. Chętnie będę kontynuował tę rozmowę.

Spokojnie wrócił na miejsce. Podporucznik pienił się z wściekłości. Oddychał z trudem, policzki mu płonęły, a z nosa płynęła krew. Nie mógł słowa powiedzieć ani się poruszyć, tylko dłoń ścisnął w kulak. Dopiero po pewnym czasie, kiedy pociąg zaczął zwalniać, podszedł do okna i otworzywszy je, wrzasnął:

- Konduktorze! Tutaj, tutaj! - Turkot kół zagłuszył te słowa.

- Konduktorze, tutaj! - ryknął ponownie, gdy pociąg stanął. Konduktor przybiegł natychmiast.

- Czego pan sobie życzy? - spytał zdyszany.

- Sprowadź pan kierownika pociągu i naczelnika stacji! - Wszyscy trzej niebawem weszli do przedziału.

- Panowie - zwrócił się do nich von Ravenow - muszę prosić o pomoc. Oto moja wizytówka. Jestem hrabia von Ravenow, podporucznik. Napadnięto mnie w tym przedziale.

- Tu? Kto się ośmielił? - zawiadowca był oburzony.

- Ten człowiek! - wskazał na Sępiego Dzioba, który siedział wygodnie i ze spokojem przypatrywał się scenie.

- Ten człowiek? Skąd się wziął w przedziale pierwszej klasy?! Obaj urzędnicy uważnie przyjrżeli się dziwacznemu pasażerowi.

- Jak się pan tu dostał? - zapytał surowym tonem zawiadowca.

- Hm! Wsiadłem - roześmiał się traper.

- Czy ma pan bilet pierwszej klasy?

- Ma - potwierdził konduktor.

- No, no - pokręcił głową zawiadowca. - Tacy ludzie w pierwszej klasie! Panie hrabio von Ravenow! Chciałbym pana spytać, co pan rozumie przez słowo napaść?

- Po prostu mnie pobił.

- Czy to prawda? - zawiadowca zwrócił się do Amerykanina.

- Tak. Nazwał mnie gałganem. Za to spoliczkowałem go. Czy ma pan coś przeciwko temu?

- Czy to prawda, hrabio, że użył pan tego wyrażenia?

- Ani myślę przeczyć! Widzi pan przecież tego jegomościa! Czy mam być narażony na przebywanie z takimi kreaturami, jeśli płacę za pierwszą klasę?

- Hm. Rozumiem pana, gdyż...

- Oho - przerwał traper. - Czy nie zapłaciłem, ile trzeba?

- Być może - zawiadowca wzruszył ramionami.

- Czy noszę porwane łachmany?

- No nie, ale mnie mam..

W tej chwili maszynista dał znak, że zamierza ruszać.

- Moi panowie - von Ravenow podniósł głos. - Proszę kończyć sprawę. Żądam ukarania tego bezczelnego człowieka.

- Bezczelny?! - zawołał Sępi Dziób. - Czy chcesz znówu oberwać?!

- Spokój! - krzyknął zawiadowca. - Skoro pan żąda ukarania tego człowieka, muszę prosić, aby przerwał podróż, bo zeznania trzeba zaprotokołować.

- Nie mogę sobie na to pozwolić. Muszę być w stolicy o oznaczonej godzinie.

- Przykro mi, ale obecność pana jest niezbędna.

- Czyż mam przez tego draba tracić czas?! Nie uważam zresztą za konieczne sporządzenie protokołu tu na miejscu. Po prostu wsadźcie tego typa do aresztu i przesłuchajcie, a akta prześlijcie do Berlina, aby uzupełnić moimi zeznaniami. Adres mój znajdzie pan na wizytówce.

- Do usług, wielmożny panie. Urzędnik podszedł do drzwi przedziału.

- Wsiadaj pan! - rozkazał traperowi. Jest pan aresztowany.

- Do licha, muszę jechać do Berlina podobnie jak ten hrabia!

- To mnie nie obchodzi.

- On ponosi winę za zajście.

- Wkrótce się przekonamy. Proszę wysiadać!

- Ani mi się śni!

- Więc zmuszę pana.

- Nie rób pan z nim ceregieli - wtrącił się von Ravenow. - Byłem obecny przy aresztowaniu go w Moguncji. To włóczęga, który z nadmiernej bezczelności jeździ pierwszą klasą.

- A więc już raz go aresztowano? Wsiadaj pan!

- Żądam, aby i hrabia wysiadł!

- Milcz pan! Napadł pan na hrabiego.

- Przyznał przecież, że mnie przedtem obraził.
- Miejsce pana jest w trzeciej klasie.
- Trudno byłoby panu tego dowieść. Mam takie same prawa, gdyż wykupiłem odpowiedni bilet.
- Prawa nikt panu nie odbiera. Wysiadać!
- Jestem gotów się wylegitymować.
- Później będzie na to czas.
- Do pioruna, ja chcę teraz!
- Milczeć powtarzam! Czy wysiada pan, czy też mam wezwać pomoc?
- Ostrzegam: jeśli mi pan nie pozwoli jechać, poniesie pan konsekwencje.
- Co, jeszcze pan mi grozi?
- Idę już, idę, drogi przyjacielu.

Sępi Dziób wysiadł, wziął worek i futerał, i cierpliwie czekał na dalszy bieg wypadków. Oczy wszystkich podróżnych były skierowane na niego. Hrabia natomiast siedział z triumfującą miną i łaskawym skinieniem po żegnął urzędników kolejowych. Pociąg ruszył.

- Chodź pan ze mną! - powiedział zawiadowca. Udali się do kancelarii. Zawiadowca posłał po policjanta. Była to mała stacyjka. Porządku publicznego pilnował tylko jeden człowiek. Upłynęło sporo czasu, zanim zjawił się w budynku.

Sępi Dziób zachowywał się spokojnie; zawiadowca nie nawiązywał z nim rozmowy. Kiedy policjant przyszedł, urzędnik opowiedział mu przebieg zdarzenia.

Przedstawiciel prawa przyglądał się pasażerowi wyniośle.

- Pan spoliczkował hrabiego von Ravenowa? - zapytał.
- Tak, bo mnie obraził.
- Zwrócił tylko panu uwagę, że pierwsza klasa nie jest dla pana.
- Do pioruna! Tak samo ja mogłem twierdzić, że nie jest dla hrabiego. Nazwał mnie gałganem, choć nic złego mu nie zrobiłem. Kto więc jest winien?
- Ale nie wolno było panu go bić. Należało o zajściu zameldować policji.
- On także zamiast mnie obrażać, mógł zameldować, jeśli myślał, że bezprawnie jadę pierwszą klasą.
- Raczej nadaje się pan do czwartej.

- Do stu tysięcy piorunów! Czy wie pan, kim jestem?

- Dowiem się rychło. Czy ma pan przy sobie dokumenty?

- Rozumie się. Chciałem się wylegitymować przed zawiadowcą, ale nie pozwolił. A teraz pożałuje tego.

- Pokaż pan!

Sępi Dziób podał te same dokumenty, które pokazywał komisarzowi w Moguncji. Policjant czytał coraz bardziej strapiiony. Kiedy skończył, rzekł:

- Przekłęta historia! Ten worek i ten straszliwy ubiór mogą każdego zwieść. Czy wie pan, panie zawiadowco, kim jest ten pan? Myśliwym z prerii, a w dodatku amerykańskim oficerem w randze kapitana.

- Nie może być!

- Ależ tak, naprawdę! Trochę francuszczyzny szkolnej wystarczyło mi do odszyfrowania tego dokumentu. Pan kapitan jest posłem pana prezydenta Meksyku - Juareza.

Zawiadowca zbladł.

- A tu oto list polecający od pana von Magnusa, pruskiego przedstawiciela w Meksyku.

- Któżby pomyślał!

- No, co panowie mają mi do powiedzenia? - zapytał traper.

- Ależ mój panie, czemu ubiera się pan w ten sposób!?! - zawołał zawiadowca. - Pańska odzież jest winna, że uważaliśmy pana za człowieka zupełnie innego pokroju!

- Moja odzież? Nie szukajcie usprawiedliwienia! Daremnie prosiłem, aby mnie pan wylegitymował. To pańska wina. Co teraz będzie?

- Oczywiście jest pan wolny - oświadczył policjant.

- Mimo że spoliczkowałem hrabiego?

- Tak. Miała miejsce wzajemna obraza. Tylko więc wtedy musiałbym się włączyć do sprawy, gdyby hrabia wniósł skargę na piśmie.

- To dziwne. Zwalnia się mnie, ponieważ jestem oficerem. Gdybym nim nie był, zamknięto by mnie jedynie dlatego, że tak sobie życzył jaśnie oświecony pan hrabia. Niech lichy porwie taką sprawiedliwość!

- Proszę o wybaczenie, panie kapitanie - wtrącił zawiadowca.

- Hrabia stwierdził, że pan na niego napadł.

- Ale przecież przyznał, że spoliczkowałem go w odpowiedzi na obelgi! I jeszcze jedno. Czy jest pan pewny, że ten człowiek, którego spoliczkowałem, istotnie jest hrabią von Ravenowem?

- Naturalnie. Dał mi swoją wizytówkę.

- Do pioruna! Każdy oszust może sobie wydrukować takie wizytówki. Co za brak przezorności z pańskiej strony!

Urzędnik był przerażony.

- Wierzę, że pan kapitan zadowolony się moją prośbą o wybaczenie...

- Zadowolony się? Ja?... No cóż... Mam poczciwą duszę. Ale jak inni będą się na to zapatrywać, nie wiem.

- Czy mogę wiedzieć, kogo pan ma na myśli?

- Hm. Właściwie nie. Ale niech tam... W największej tajemnicy wyjawię panu: jadę do pana von Bismarcka.

- Do pana von Bismarcka? - powtórzył jak echo zawiadowca.

- Mam nadzieję, że nie wspomni pan kanclerzowi o tym nieprzyjemnym zajściu.

- Wręcz przeciwnie. Muszę się przecież wytłumaczyć, dlaczego spóźniłem się na ważną konferencję.

Urzędnik czuł się tak, jak gdyby sam został spoliczkowany. Przerażony wpatrywał się w Sępiego Dzioba.

- Mój Boże, jestem zgubiony! Czy pan kapitan nie zdąży na oznaczoną godzinę, jeśli wyjedzie następnym pociągiem?

- Nie. Wyliczyłem czas do kwadransa.

- Co za nieszczęście! Co robić?

- Nic. A może pan przypuszcza, że pojedę specjalnym pociągiem, aby naprawić pański błąd?

Zawiadowca odetchnął z ulgą.

- Ach, doskonale! To da się zrobić!

- Ale ja się nie godzę! Zachowanie pana było dla mnie wielce obraźliwe. Czy mam jeszcze tę obrazę wynagrodzić? Może zapłacić za specjalny pociąg?

- Panie kapitanie, wcale o to nie proszę! Dam do pańskiej dyspozycji lokomotywę i wagon. Na pewno doścignie pan tamten pociąg w Magdeburgu, jeśli nie wcześniej.

- Hm... Kiedy ten specjalny skład będzie mógł stąd odejść?

- Nie natychmiast. Muszę zatelegrafować po niego do Moguncji. Proszę pana bardzo, abyś się na to zgodził.

Sępi Dziób zamyślił się. Po chwili twarz mu się rozjaśniła. Potarł nos i zapytał:

- Czy hrabia mówił, że jedzie do Berlina?

- Tak.

- Przez Magdeburg?

- Przez Bremę i Magdeburg. Tam jest dłuższy postój.

- A ja mógłbym dogonić jego pociąg jeszcze przed Magdeburgiem?

- Można się o to postarać.

- Więc w Magdeburgu byłbym wcześniej od hrabiego? W takim razie godzę się na pańską propozycję.

- Pozwoli więc pan, że zadepeszuję? - uradował się urzędnik. - I będzie pan łaskaw nie wspominać nikomu o moim błędzie?

- No, nie było to przyjemne wydarzenie, ale puszcze je w niepamięć. Powiedz mi pan, czy masz wysoką pensję?

- Nie.

- A pociąg specjalny jest zapewne drogi, prawda?

- Długi czas będę musiał go spłacać.

- To sprawiedliwe. Ale żal mi pana. Może więc podzielimy się kosztami?

- Pan chyba żartuje...

- Nie. Mówię serio. Nie chcę pana unieszczęśliwić.

- Dziękuję, bardzo dziękuję! Jest pan prawdziwym amerykańskim dżentelmenem!

Pochlebstwo poskutkowało. Strojąc szelmowską minę traper powiedział:

- Lepiej byłoby, żebym poniósł cały koszt?

- O, to dla mnie najlepsze wyjście, panie kapitanie!

- No, więc niech i tak będzie. Płacę wszystko. Ale tylko pod warunkiem, że do Magdeburga dotrę wcześniej od hrabiego. Poza tym żądam, aby pan napisał, że się wylegitymowałem i że na skutek doniesienia hrabiego miał pan nieprzyjemności.

- Czy mogę wiedzieć, po co to panu?

- Kiedy hrabia zobaczy mnie w Magdeburgu, znowu może zaczepić. Zaświadczenie będzie dowodem, że nie uciekłem od pana.

- Napiszę zaraz po wysłaniu depeszy.

- Panie policjancie, czy jestem wolny?

- Oczywiście, panie kapitanie.

- A więc niepotrzebnie się pan fatygował. Masz pan! - wręczył mu dwa talary.

Policjant podziękował uprzejmie i wraz z zawiadowcą wyszedł z pokoju.

W pół godziny później przybyła lokomotywa z wagonem. Jedynym pasażerem, który wszedł do środka, był Sepi Dziób.

Noc już dawno zapadła, kiedy pociąg, którym jechał von Ravenow, dotarł do Börssum. Tu postój trwał kilka minut. Von Ravenow zadomowił się w przedziale, zapalił nawet cygaro. Nagle rozległ się okrzyk:

- Magdeburg, pierwsza klasa!

- Do diabła! - zachnął się podporucznik. - Nici z palenia. Miał właśnie zamiar wyrzucić cygaro przez okno, gdy drzwi się otworzyły. Rzuciwszy spojrzenie na wchodzącego, zatrzymał je w ręce.

- Dobry wieczór! - przywitał go nowy pasażer.

- Dobry wieczór, panie pułkowniku. Co za zbieg okoliczności! Przybysz badawczo popatrzył na podporucznika.

- Zna mnie pan? Z kim mam przyjemność? Von Ravenow nie wiedział, co o tym myśleć.

- Naprawdę nie poznaje mnie pan? Przecież dopiero cztery miesiące upłynęły od owego dnia, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni!

- Proszę o wymienienie nazwiska - grzecznie powtórzył von Winslow.

- Czyżbym się aż tak zmienił?

- Być może - uśmiechnął się pułkownik. - A więc jak się pan nazywa?

Zamknięto przedział. Pociąg ruszył.

- Oto mój znak rozpoznawczy! - von Ravenow wyciągnął prawą rękę. Była to proteza. Von Winslow cofnął się.

- Co?! - zawołał. - Pan jest podporucznikiem von Ravenowem?! Człowieku, jak pan wygląda! Proszę spojrzeć w lustro.

Podporucznik podniósł się z ławki, podszedł do lustra i natychmiast cofnął się przerażony.

- Niech go ogień piekielny pochłonie! - krzyknął. - Ale mnie urządził! No poczekaj, cwaniaku, zaleję ci jeszcze sadła za skórę! W tym stanie nie mogę się nikomu pokazać.

- Tak też myślę. Ale co się panu przytrafiło? - zaciekawiał się pułkownik.

- Zaraz wyjaśnię, lecz najpierw proszę powiedzieć skąd i dokąd pan jedzie.

- Z Wolfenbuttel do Berlina. A pan?

- Z Moguncji. Także do Berlina.

- A więc nasze spotkanie może okazać się korzystne dla nas obu, ponieważ...

- Podporucznik von Golzen depešował do mnie wczoraj - przerwał von Ravenow.

- Do mnie też. Przypuszczam, że treść obu depeš była jednakowa. Chodziło o tego łotra?...

- Ungera? Tak.

- Von Golzen zawiadomił mnie, że chłystek jest znowu w Berlinie. Widział go wczoraj. Oczywiście natychmiast wyruszyłem.

- Aby dotrzymać przysięgi?

- Tak. Muszę się zemścić! Za to! - pułkownik podniósł prawą rękę. Była także sztuczna. Von Ravenow tupnął nogą.

- Kiedy przypominam sobie tamten pojedynek... To straszne!

Byłem młody, bogaty, miałem przed sobą świetną przyszłość!... I wszystko się skończyło, kiedy zjawił się ten przekłety człowiek...

- A co ja mam mówić - dodał posepnie pułkownik. - Mogłem zostać generałem. Do pioruna, jest pan przecież w porównaniu ze mną w lepszym położeniu! Nie ma pan żony...

- Rozumiem - porucznik uśmiechnął się ironicznie.

- Wiecznie te aluzje! Ale proszę zrozumieć moje położenie. Jak mam żyć bez pensji, z drobnym tylko majątkiem? Zostawmy to już. Powiem panu, że dobrze wykorzystałem czas, którego miałem aż za wiele. Codziennie po kilka godzin ćwiczyłem w strzelaniu lewą ręką. I teraz lepiej nią strzelam niż kiedyś prawą.

- Ja także czasu nie zmarnowałem. Lewą ręką władam szpadą doskonale! Jadę do Berlina, aby wyzwać Ungera.

- A ja, by go wysłać na tamten świat! Zastrzelę go jak psa!

- Czy pomyślał pan o sekundancie? Obawiam się trudności. Pułkownik zakłopotał się.

- Chyba ma pan rację. Będą ostrożni. Od razu się domyśla, że to walka na śmierć i życie.
- Nie jest pan ze mną szczery. Uważa pan, że ucierpieliśmy na honorze?
- Niestety - jęknął pułkownik.

- Nie zgadzam się z panem. Co znaczy honor? Nie może być, aby honor oficera diabli wzięli, gdy nieopatrznie popełni jakieś głupstwo albo zostanie spoliczkowany! Takie myślenie to przeżytek! - Lekceważąco machnął ręką, ale jego oczy miały błyskawice gniewu. Sepi Dziób urządził go niezgorzej. Twarz podporucznika spuchła, nos i wargi przybrały brunatnoczerwone zabarwienie. Nie dziw, że Winslow nie poznał go w pierwszej chwili.

- Hm - rzekł pułkownik. - Policzek to rzecz nader poniżająca, jakkolwiek by na to nie patrzeć.

- Każdemu może się przytrafić.
- Chce pan powiedzieć, że szczególnie koloryt twarzy zawdzięcza pan...
- A gdyby tak było w istocie?
- Odważono się pana spoliczkować?
- Nawet wiele razy! - roześmiał się nerwowo podporucznik.
- Kto się ośmielił? Mam nadzieję, że był to człowiek honoru.
- Ależ skąd! To zwyczajny włóczęga, wędrowny muzykant! Niech pan posłucha, pułkowniku!

Kiedy von Ravenow opowiadał zdarzenie, von Winslow zawołał:

- Ja bym zakatrupił! Mam nadzieję, że zareagował pan należycie?
- Rozumie się. Łotr siedzi teraz pod kluczem i oczekuje kary.
- Oj, podporuczniku! Ten wypadek nie przynosi panu zaszczytu.
- W pełni zdaję sobie z tego sprawę. Dziwi się pan, że w ogóle o tym opowiadam? Ale jakże inaczej wytłumaczyłbym moją opuchliznę? Diabli wiedzą, kiedy ustąpi.
- Radzę panu zrobić okład z surowego mięsa i to jak najszybciej.
- Skąd je wezmę?

- W Magdeburgu. Za chwilę miniemy ostatnią stację przed tym miastem. W bufecie albo w kuchni znajdzie się na pewno surowe mięso. Ponieważ jesteśmy sami w przedziale, bez skrupowania może je pan przyłożyć do policzków. Do Berlina jeszcze daleko i do tego czasu opuchlizna ustąpi.

Pociąg wjechał na dworzec. Mijały minuty i nie ruszał, choć zgodnie z rozkładem jazdy postój miał być bardzo krótki. Zaintrygowany tym pułkownik otworzył okno.

- Konduktorze - zapytał - dlaczego tak długo stoimy?
- Sygnalizowano pociąg specjalny, który musimy przepuścić.

Niebawem nadjechał pociąg składający się z lokomotywy i jednego wagonu. Jakiś mężczyzna wyglądał przez okno i uważnie lustrował zatrzymany obok pojazd. Pułkownik zauważył go, mimo że przemknął bardzo szybko.

- Do pioruna! - zawołał. - Tam jechał jegomość, który miał nos jak lemiesz!
- Na pewno nie większy od nosa tego rozbójnika, który mnie dzisiaj napadł.

Gdy dotarli do Magdeburga, von Winslow poszedł do bufetu, kupił surowe mięso i przyniósł towarzyszowi. Podporucznik owinął je chustką i przyłożył do twarzy.

Po minucie zaczął stękać.

- Co panu jest?
- Czy wie pan na pewno, że surowe mięso pomaga?
- Oczywiście. W krótkim czasie ściąga obrzęk.
- Ale pali straszliwie.
- No, trudno.

Po chwili von Ravenow znowu jęknął i wreszcie zerwał z twarzy chustkę.

- Dłużej nie wytrzymam! - zawołał.
- Przecież nie może aż tak boleć. - Podporucznik powąchał mięso.
- Czy powiedział pan, w jakim celu je kupuje?
- Rzecz jasna, że nie. Prosiłem o surową baraninę. Powiedziano, że na sztuki już nie ma, kazałem więc odważyć kawałek.
- Nie pytając, czy jest czyste?
- Nie rozumiem! Czyżby było nieświeże?!
- Nie, to nie to. Ale mocno osolone i popieprzone. Czyżby takie miało goić opuchliznę?
- Hm. Rzeczywiście sól i pieprz nie koją. Co za kpy z tych ludzi! Wyrzuć pan mięso przez okno.

Wkrótce pociąg zatrzymał się na dworcu Magdeburg-Neustadt. W pobliżu przedziału rozległ się jakiś głos.

- Do Berlina, konduktorze?

- Tak. Proszę iść do tyłu.

- Tam jest trzecia klasa. Ja do pierwszej.

- Naprawdę? Pokaż pan bilet.

- Proszę.

- Istotnie. Wsiadaj pan szybko! Zaraz ruszamy. Konduktor otworzył drzwi przedziału i gość wsiadł.

- Dzień dobry - uprzejmie powitał podróżnych.

Nie otrzymał odpowiedzi. Von Ravenow nie mógł wydobyć głosu, a pułkownik nie uważał za stosowne odpowiadać człowiekowi nie ze swojej sfery.

Nowy pasażer rozsiadł się wygodnie ze swym workiem, flintą i puzonem i pociąg potoczył się po szynach.

- Do diabła! - zawołał von Ravenow.

- Co takiego? - zainteresował się pułkownik. Podporucznik bez słowa wskazał na przybysza. Von Winslow obserwował go przez chwilę. Tymczasem von Ravenow otrząsnął się z osłupienia.

- Pułkowniku, czy wie pan, kto to jest? - szepnął.

- Na pewno ten jegomość, którego straszliwy nos wyglądał z okna specjalnego pociągu.

- To ten łotr! Ten włóczęga, który... Ach, ten policzek!

- Do stu par piorunów! Sądziłem, że aresztowany!

- Zapewne powtórnie uciekł.

- Pociągiem specjalnym?

- Widocznie. Kiedy przybędziemy do najbliższej stacji?

- Za sześć minut. Do Biederitz.

- Tam każemy go aresztować.

- Czy pan się nie myli? Czy to na pewno on?

- Jakże bym mógł nie poznać takiego nosa i puzonu? Pułkownik wypiął dumnie pierś i zwrócił się do Sępiego Dzioba:

- Kim pan jest?

Sępi Dziób nie odpowiadał.

- Kim pan jest? - powtórzył głośniejszym głosem von Winslow. Znowu nie było odpowiedzi.

- Słyszysz pan? Pytałem, kim pan jest!

- Kim jestem? Podróżnym - odparł wreszcie traper z figlarnym uśmiechem.

- Chcę znać pana nazwisko.

- Nie mam akurat pod ręką.

- Nie udawaj pan wariata! Skąd pan przybywa?

- Z Moguncji.

- Aha... Odstawiono pana do komisarza policji von Ravenowa, a po drodze aresztowano po raz drugi?

- Niestety.

- Jak się pan dostał do Magdeburga?

- Pociągami specjalnymi.

- Do którego się pan zakradł, co? Już się postaramy, aby pan znowu nie umknął, włóczykiju zatracony!

- Włóczykiju? Zatracony? Posłuchaj pan, serdecznie, nie używaj tych słów w mojej obecności.

Pułkownik przybrał wyzywającą postawę.

- A to czemu?

- Odpowiedź mogłaby się panu nie spodobać.

- To ma być groźba?

- Nie. Tylko ostrzeżenie.

Teraz von Ravenow powziął decyzję. Liczył na pułkownika. Obaj wspólnymi siłami mogliby utrzymać nosa jego prześladowcy.

- Proszę, niech pan nie rozmawia z tym gburowatym drągalem! - zwrócił się do pułkownika. - Przekażę go policji. Władza wie najlepiej, co począć z takim gałganem, który...

Nie zdążył dokończyć, gdy uderzony potężnie w policzek zwał się z siedzenia.

Pułkownik zerwał się na równe nogi i chwycił Sępiego Dzioba za pierś.

- Łotrze! - zawołał. - Odpokutujesz za to!

- Precz z rękami! - groźnie powiedział traper i oczy mu zabłyśły. Siedział jeszcze, mimo że von Winslow stał nad nim.

- Co? śmiesz mi rozkazywać? A masz!... - wrzasnął rozeźlony pułkownik. Zamierzył się, ale w tej samej niemal chwili krzyknął przeraźliwie. Traper odparował cios i po bokserku uderzył pułkownika w splot słoneczny, pozbawiając go zdolności do dalszej walki.

Von Ravenow nie mógł pomóc sojusznikowi. Po ostatnim policzku dosyć miał walki. Pułkownik leżał na podłodze i jęczał.

- To za zatraconego włóczykija! - powiedział spokojnie Sępi Dziób. - Nauczę was uprzejmości!

- Człowieku, jak mogłeś?! - jęczał pułkownik. - Każę cię aresztować!

Rozległ się sygnał lokomotywy, że pociąg zbliża się do stacji. Gdy się zatrzymał, Sępi Dziób otworzył okno i zawołał:

- Panie konduktorze! Proszę sprowadzić natychmiast kierownika ruchu i zawiadowcę stacji! Napadnięto mnie w tym przedziale!

Obaj urzędnicy zjawili się szybko. Traper rozparł się w oknie, zajmując całą jego szerokość.

- Co się stało? Czego pan sobie życzy? - zapytał uprzejmie kierownik ruchu.

- Jak długo ten pociąg tu stoi?

- Tylko minutę. Zaraz odjeżdża.

- Proszę o chwilę zwłoki. Panie zawiadowco, dziś dwukrotnie napadnięto na mnie w przedziale. Proszę aresztować obu moich współpasażerów. Oto mój paszport!

Była jeszcze noc. Zawiadowca obejrzał podany dokument przy świetle latarki.

- Jestem do usług, panie kapitanie - powiedział z szacunkiem.

- Kim są ci ludzie?

- Jeden podaje się za hrabiego, a drugi jest jego towarzyszem. Na szczęście udało mi się obu chwilowo obezwładnić. Czy mam wysiąść?

- Proszę. Ludzie, tutaj!

Na stacji nie było policjanta. Przybiegli więc robotnicy kolejowi w dostatecznej liczbie, aby sobie poradzić z dwoma krewkimi pasażerami. Pułkownik i von Ravenow słyszeli każde słowo rozmowy. Byli tak zaskoczeni, że nie odzywali się nawet wówczas, kiedy konduktor otworzył drzwi i Amerykanin wyskoczył na peron.

- Gdzie oni są? - zapytał zawiadowca.

- Tam - wskazał ręką Sępi Dziób. Zawiadowca zajrzał do przedziału i polecił:

- Proszę wysiadać. Ale prędko!

- Za nic na świecie! - wzbraniał się pułkownik. - Jesteśmy...

- Wiem już - przerwał urzędnik. - Natychmiast wysiadać!

- Do wszystkich diabłów - krzyknął von Ravenow. - Czy wie pan, że jestem podporucznik hrabia von Ravenow?!

Urzędnik zmierzył go od stóp do głów i wzruszył ramionami:

- Wygląda pan właśnie na hrabiego! Wychodź pan wreszcie, w przeciwnym razie będę musiał zastosować siłę.

- Ale nasz bagaż... - pułkownik chciał zyskać na czasie.

- Wszystko będzie załatwione. Ludzie, wynosić!

Obaj byli oficerami, nie mogli dłużej się opierać. Zaprowadzono ich na dworzec. Sępi Dziób został przy pociągu z zawiadowcą, który doglądał przenoszenia bagażu.

- Dawno takich gratów nie widziałem! - zaśmiał się jeden z robotników. - Po co wozić ze sobą ten stary puzon?! Co za podziurawiony i pordzewiały grzmot! Wyobrażam sobie, jak to to ryczy.

- A tu jest worek - zauważył drugi. - Najlepszy dowód, że złowiliśmy łotrzyków. Co za tandeta musi być w środku!

Uważali bagaż Sępiego Dzioba za własność oficerów. Traper nie wyprowadzał ich z błędu. Gdy wszystko wyniesiono z przedziału, pociąg ruszył. Rzeczy obu oficerów pozostały w wagonie bagażowym.

- Proszę, niech pan idzie ze mną, panie kapitanie - poprosił zawiadowca.

Gdy znaleźli się w kancelarii, Amerykanin wyjął pozostałe dokumenty.

- Zechce pan łaskawie przeczytać - powiedział.

Urzędnik z jeszcze większym szacunkiem spojrział na cudacznego pasażera. Znajomy sławnego Juareza! Tylko jedno wydało mu się dziwne - strój tego znakomitego człowieka.

- Oto pańskie papiery, panie kapitanie. Teraz wiem dokładnie, z kim mam zaszczyt. Czy pozwoli pan, że zapytam o pewną drobnostkę?

- Proszę.

- Nawet jeżeli to pytanie wyda się niegrzeczne? - Sępi Dziób skinął przyzwalająco głową.

- Czemu nie ubiera się pan stosownie do stanowiska? - Sępi Dziób położył palec na ustach i szepnął:

- Incognito.

- Ach, tak! Nie chce pan, by wiadano, kim jest?

- Dlatego mam przy sobie worek, futerał i puzon.

- A więc to pana własność?

- Tak. Podróżuję jako grajek. Przypuszczam, że nie narażam swego incognito.

- Nauczono mnie milczeć. Czy mogę pana prosić o wyjaśnienie incydentu?

- Przybywam z Moguncji. Gdy wszedłem tam do przedziału pierwszej klasy, siedział już w nim ów rzekomy hrabia. Tak się przedstawił, a potem zaczął mnie. Przypuszczam, że jest austriackim szpiegiem, a jedzie za mną, aby za wszelką cenę uniemożliwić mi audiencję u pana Bismarcka, do którego zostałem wysłany przez prezydenta Juareza.

- Nasza w tym głowa, aby mu przeszkodzić.

- Mam nadzieję. Obraził mnie, więc spoliczkowałem go kilkakrotnie. On zaś wykorzystał postój na najbliższej stacji, aby mnie aresztowano jako bandytę. Tamtejszy zawiadowca nie miał pańskiej przenikliwości ani umiejętności rozpoznawania ludzi. Mnie aresztowano, a rzekomemu hrabiemu pozwolono jechać dalej.

- Co za przeraźliwa głupota! - zawołał mile połączony urzędnik. - Od pierwszego wejrzenia widać, że jest pan znaczną osobistością podróżującą incognito. Proszę opowiadać dalej.

- Fałszywy hrabia wylegitymował się tylko wizytówką. Mnie nie chciano nawet wysłuchać. Ale później, kiedy pokazałem swoje dokumenty policjantowi i oświadczyłem, że spóźnię się na spotkanie z von Bismarckiem, poczciwy zawiadowca był zrozpaczony. Właściwie zamierzałem go ukarać, ale tak długo błagał, że w końcu zmieniłem zamiar. Aby dogonić swój pociąg, pojechałem do Magdeburga specjalnym składem, który dla mnie sprowadził zawiadowca i wzięłem od niego to oto pismo. Przypuszczałem bowiem, że rzekomy hrabia, skoro mnie ponownie ujrzy, znowu coś wymyśli.

Urzędnik przeczytał zaświadczenie i rzekł:

- To dla mnie bardzo ważny dokument. Mój kolega stwierdza, że zwiódło go fałszywe zeznanie hrabiego. Mnie ten jegomość nie oszuka! Proszę, mów pan dalej!

- Dojechałem do Magdeburga. Kiedy wsiadłem do wagonu, zobaczyłem znów swego prześladowcę. Towarzyszył mu ten drugi. Od razu wszczęli kłótnię. Ten starszy chciał mnie pobić. Hrabiego uraczyłem nowym policzkiem, a tamtego unieszkodliwiłem. Na szczęście szybko przybyliśmy na pana stację, bo gdyby wcześniej odzyskał siły, źle byłoby ze mną.

JAK SĘPI DZIÓB DOTARŁ DO VON BISMARCKA

Na dworcu w stolicy dziwny wygląd Sępiego Dzioba obudził żywe zainteresowanie, aczkolwiek mniejsze niż w Moguncji. Traper wszedł do dorożki i podał adres gospody „Dwór Magdeburgski”. Tutaj także bacznie mu się przyglądano, już sama twarz przykuwała uwagę, cóż dopiero strój staromodnego grajka z ludowego balu maskowego.

Sępi Dziób uśmiechał się tylko z zadowoleniem. Zapytał starszego kelnera:

- Czy mogę dostać pokój?

- Hm. Czy ma pan dokumenty?

- Rozumie się.

- A więc proszę za mną! - Poprowadził dziwnego gościa przez podwórze, otworzył jakieś drzwi i oznajmił: - Tutaj!

Amerykanin wszedł i rozejrzał się dokoła. Była to ciemna, zadymiona nora. Na oknie stały przybory do czyszczenia obuwia, w kącie skrzynia z narzędziami, a na ścianach wisiała różnoraka odzież. Za stołem siedziało przy wódce kilku mężczyzn i grało w karty.

- Do licha! Co to za dziura? - zachnął się traper.

- Izba dla służby.

- Co ja zamówiłem: pokój czy izbę dla służby? - Starszy kelner uśmiechnął się wzgardliwie.

- Oczywiście pokój. Ale niech mi pan powie, co mam przez to rozumieć?!

- No, w każdym razie nie jaskinię.

- A więc przywykł pan do lepszego mieszkania?

- Zdecydowanie.

- Tego po panu nie widać.

- Nie uważa mnie pan za solidnego obywatela, a jednak nim jestem. A z panem ma się rzecz odwrotnie.

- Co to znaczy?

- Wygląda pan solidnie, ale w tym wypadku to pozory. Proszę raz jeszcze o przyzwoity pokój, bez względu na cenę.

Kelner odparł z niskim, szyderczym ukłonem:

- Jak pan sobie życzy! Niech pan idzie za mną.

Wrócili do głównego budynku i weszli na pierwsze piętro. Po prawej stronie, przez uchylone drzwi, widać było ładny przedpokój, który prowadził do gustownie urządzonego pokoju. Do niego przylegała sypialnia.

- Czy to pomieszczenie panu odpowiada? - zapytał kelner, pewny że gość się wycofa.

- Hm, co prawda nie luksusowe, ale nie najgorsze.

Złość brała kelnera.

- Jaśnie oświecony pan hrabia Waldstatten mieszkał tu dwa dni!

- To mnie dziwi. Taki hrabia zwykle ma duże wymagania.

- Ale pan chyba nie?

- Czemu nie? Czy tytuł wyróżnia człowieka? Zatrzymuję ten apartament.

Kelner chciał z jegomościa zakpić. Teraz się przeląkł. Co będzie, jeśli istotnie tu zamieszka, a potem nie zapłaci? Taki apartament i człowiek, który zdaje się być gałganiarzem.

- Będzie to pana kosztowało osiem talarów dziennie! - powiedział szybko.

- Co z tego?

- Bez usługi.

- Nie ma to dla mnie znaczenia.

Z sypialni wyszła pokojówka z przyborami do sprzątanania w rękach. Była to ta sama dziewczyna, która pomogła Kurtowi Ungerowi nakryć na oszustwach kapitana Landolę. Słyszała rozmowę i była ciekawa, z kim tak sobie kelner poczyna.

- Pański paszport? - zapytał kelner.

- Do stu tysięcy piorunów! Tak panu pilno?! - krzyknął Sępi Dziób.

Kelner wzruszył ramionami.

- Policja nakazała nam sprawdzać tożsamość gości.

- A więc wasza gospoda jest zwyczajną knajpą, w której nie ma księgi obcokrajowców?

Słowa te wywarły wrażenie.

- Może pan dostać księgę.
- Przynieś ją pan! Ale powiedz mi wpierw, czy znasz porucznika huzarów Kurta Ungera?
- Nie.
- Jeszcze nie przyjechał?
- Nic o nim nie wiem. Wówczas wtrąciła się dziewczyna:
- Ja znam pana porucznika.
- Czy kiedyś tu mieszkał?
- Nie. Znam go, ponieważ pochodzę z okolicy Reinswalden.

- Właśnie stamtąd przybywam. Spotkałem porucznika u hrabiego Rodrigandy i umówiliśmy się tutaj na dzisiaj.

- W takim razie na pewno się zjawi. Czy zamówi pan także pokój dla niego?

- Nie prosił mnie o to. Ale - zwrócił się do starszego kelnera - co pan tu jeszcze robi? Czy nie słyszał pan mego polecenia?

- Zaraz przyniosę tę księgę - kelner był zgoła unizony. - Co pan jeszcze rozkaże?

- Chciałbym coś zjeść.

- Śniadanie? A co zamówić?

- Wszystko mi jedno, aby tylko było sute i smaczne.

Kiedy kelner odszedł Sępi Dziób zrzucił worek, futerał i puzon na niebieską jedwabną kanapę i zagadnął pokojówkę:

- A zatem pochodzi pani z Reinswalden? A więc nie zna pani Berlina?

- Znam. Jestem tu już od dłuższego czasu.

- Czy widziała pani von Bismarcka?

- Owszem.

- Czy wie pani, gdzie on mieszka i którądy należy iść do jego rezydencji?

- Tak.

- Więc niech mi pani opiszę drogę.

Pokojówka ze zdumieniem popatrzyła na cudzoziemca.

- Chce pan się dostać do niego? To nie będzie takie łatwe! Nie wiem dokładnie, ale chyba najpierw musi się pan zameldować w ministerstwie.

- Poradzę sobie! Bez ceregieli. No, niechże pani już mówi.

Ledwo dziewczyna skończyła, wszedł kelner z księgą obcokrajowców. Sępi Dziób wpisał się i kazał, by jak najszybciej podano śniadanie. Gdy został sam w pokoju, zajął się rozpakowaniem bagażu. Został go przy tym kelner, przyniósłszy jedzenie. Zdumiał się wielce, ujrzawszy zawartość worka i futerału. Pospieszył do kancelarii, aby zameldować gospodarzowi, co widział.

Hotelarz nic jeszcze nie wiedział o nowym gościu, gdyż dopiero co wrócił z miasta. Usłyszawszy relację o dziwnym lokatorze, rozgniewał się.

- I takiemu człowiekowi oddał pan nasz najlepszy numer?

- Chciałem go tylko oszołomić - usprawiedliwiał się kelner. - Nie spodziewałem się, że zatrzyma apartament.

- Jak się wpisał?

- Jako William Saunders, kapitan armii Stanów Zjednoczonych.

- Boże wielki, to zapewne taki sam oszust i zdrajca jak ten Shaw, który też się podawał za Amerykanina i kapitana!

- Co ma w bagażu?

- Strzelbę...

- Do pioruna!

- ... dwa rewolwery, wielki nóż z ostrą, wygiętą klingą i stary puzon.

- Puzon? Nie wierzę! Czy przysięgnie pan, że to naprawdę puzon?! Z mosiądzu?

- Trudno powiedzieć - z namysłem odparł kelner. - Jest żółty, podobny do mosiądzu, ale nie jasnożółty, tylko ciemniejszy, bardzo zardzewiała.

- Chyba nie z brązowego metalu?

- Być może.

- Mój Boże, w takim razie to maszyna piekielna! Czy nie widział pan kurka czy sprężyny, gwintu lub jakiegoś kołka?

- Nie.

- Trzeba się przekonać.

- Ale jak? Nie wygląda mi ten jegomość na człowieka, który pozwoli zajrzeć do swojego bagażu.

- A więc sprawia wrażenie wojowniczego, wyzywającego?

- W najwyższym stopniu. A przy tym jest złośliwy.

- Co począć?

Kelner zrozumiał swój błąd, więc z tym większą gorliwością pragnął go naprawić.

- Musimy zacząć działać. Obawiam się, że ten Amerykanin przygotowuje zamach.

Pokojówka dotychczas milcząca, krzyknęła:

- Jezus, Maria! On pytał o von Bismarcka! Gospodarz zbladł.

- O von Bismarcka? Czego chciał?

- Musiałam mu opisać drogę do rezydencji kanclerza. Chce się z nim widzieć.

- O, nieba!

- Powiedziałam, że niełatwo dostać się do von Bismarcka, ale on na to, że poradzi sobie bez ceregieli.

- Nie ulega wątpliwości, że zamierza dokonać zamachu! Chce go zabić! Nie ma co dłużej zwlekać! Idę zawiadomić policję.

Hotelarz biegł całą drogę. Kiedy dotarł do komisariatu, z trudem oddychał i przez pewien czas nie mógł wykrztusić słowa.

- Uspokój się, mój drogi - odezwał się łagodnie urzędnik. - Zapewne przychodzi pan w nagłej sprawie. Ale niech pan poczeka i nic nie mówi, zanim nie złapie tchu.

- Ja... ja... przynoszę zamach. Policjant zdębiał.

- Zamach?!

- Tak, przynoszę tutaj. To znaczy przynoszę doniesienie o zamachu.

- To w samej rzeczy ważna sprawa. Czy się pan dobrze zastanowił? Chodzi wprawdzie o przestępstwo i poważne niebezpieczeństwo, które zapewne komuś grozi. Ale jednocześnie bierze pan na siebie wielką odpowiedzialność, informując mnie o tym.

- Biorę na siebie wszystko: przestępstwo, niebezpieczeństwo i odpowiedzialność! - hotelarz był tak przejęty, że nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co mówi.

Urzędnik ledwo mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Na kogo przygotowano zamach?

- Na von Bismarcka.

- Do licha! W jaki sposób ma być wykonany?

- Strzelbą, rewolwerem, nożem i maszyną piekielną.

Policjant spoważniał.

- Kim jest zamachowiec? A jego pomocnicy?

- Muszę zapytać o coś. Czy przypomina pan sobie rzekomego kapitana Shawa, którego szukano u mnie, a któremu udało się zbiec?

- Tak. Podawał się za kapitana armii Stanów Zjednoczonych.

- No właśnie. A u mnie mieszka teraz człowiek, który także podaje się za amerykańskiego kapitana.

- To jeszcze nie powód, aby go podejrzewać.

- Nie kwapił się z okazaniem paszportu i upominał o księgę cudzoziemców.

- No, no... Jakże się nazywa?

- William Saunders.

- Angielskie albo amerykańskie nazwisko. Kiedy się zjawił?

- Pół godziny temu.

- Jak jest ubrany?

- Niezwykle. Jak maskara. Nosi stare niemodne spodnie, trzewiki, frak z bufami, wyłogami i olbrzymimi guzikami, a kapelusz w kształcie parasola.

- Hm. Raczej wydaje mi się, że to dziwak a nie zamachowiec. Kto zamierza popełnić przestępstwo, ten ubiera się stereotypowo, aby nie zwracać na siebie uwagi.

- Ale jego broń! Ma strzelbę, dwa rewolwery i nóż. A także jakiś instrument metalowy podobny do puzonu. To może być machina piekielna!

- Czy widział ją pan?

- Nie ja, ale mój kelner.

- Dlaczego się pan osobiście nie przekonał?

- Nie chciałem wzbudzać w tym człowieku podejrzeń.

- A z czego pan wnosi, że chce dokonać zamachu na von Bismarcka?

- Pokojówkę, która jest ze mną spokrewniona, pytał o drogę do jego rezydencji.

- To już coś, ale jeszcze nie obciążający dowód.

- Mówił ponadto, że nie będzie robił z von Bismarckiem ceregieli.

- Czy powiedział, kiedy tam pójdzie?

- Nie.

- Gdzie jest teraz?

- Je śniadanie w swoim pokoju.

- Może się pan mylić, ale moją powinnością jest zbadać sprawę. Nie mogę działać na własną rękę. Zamelduję, komu należy i za pół godziny będę u pana. Pańskim obowiązkiem jest przypilnować, aby do tego czasu ten gość nie opuścił hotelu.

- Jeśli zajdzie potrzeba, czy mogę użyć siły?

- Tylko w ostateczności.

- Uczynię, co do mnie należy. - Rzekłszy to, hotelarz opuścił komisariat.

Tymczasem Sepi Dziób, nie spodziewając się niczego jadł z apetytem śniadanie.

- Czy mam czekać na porucznika? - zastanawiał się głośno. - Oho! Sepi Dziób jest człowiekiem, który może sam mówić z von Bismarckiem. Szkoda, że nie wypada z takim człowiekiem żartować, jak z innymi. A swoją drogą ciekaw jestem, jakie oczy robi, kiedy tak głupio ubrany drągał zażąda z nim rozmowy.

Zaniósł swoje rzeczy do sypialni, zamknął ją, a klucz schował do kieszeni.

- Ci ludzie nie powinni się dowiedzieć podczas mojej nieobecności, co jest w worku - mruknął. - Kelner i tak już widział za dużo. Jeśli mają zapasowy klucz, to i ja mam swoją śrubę.

Wyciągnął z kieszeni amerykańską patentową śrubę i wkręcił ją w otwór zamka. Teraz spokojny, że nikt nie otworzy pomieszczenia, zszedł na parter.

Traf chciał, że nie spotkał nikogo, ponieważ cały personel zebrał się w kuchni i plotkował na jego temat. Byli pewni, że kapitan jeszcze je śniadanie, nie przypuszczali bowiem, że mógł już pochłonąć takie stosy jadła.

Opuściwszy niepostrzeżenie dom, Sepi Dziób poszedł drogą opisaną przez pokojówkę. Kilka razy wprawdzie upewnił się, czy idzie dobrze, ale w końcu stanął u celu.

Ujrawszy odźwiernego przy bramie, podszedł doń i spytał:

- Tutaj mieszka von Bismarck, nieprawdaż?

- Tak - potwierdził odźwierny, z uśmiechem przyglądając się cudakowi.

- Na pierwszym piętrze?

- Tak.

- Czy master jest w domu?

- Master? Kto to taki?

- No, Bismarck.

- Ma pan na myśli jego eksceleńcję pana hrabiego von Bismarcka?

- Tak, mam na myśli hrabiego, jego eksceleńcję, a także samego Bismarcka.

- Jego eksceleńcja jest w domu.

- No, więc dobrze trafiłem.

Chciał wyminąć odźwiernego, ale ten chwycił go za rękę.

- Stój! Dokąd to?

- No, do niego oczywiście!

- Do jego eksceleńcji? Tak się nie idzie!

- A to dlaczego?

- Czy jest pan umówiony?

- Nic o tym nie wiem.

- Więc musi pan obrać drogę służbową.

- Co to znaczy?

- Muszę wiedzieć, w jakiej sprawie pan przychodzi. Czy to sprawa osobista, dyplomatyczna czy jakaś inna.

- To właśnie jakaś inna. - Odźwierny zachmurzył się.

- Jeśli pan myśli, że jestem od tego, aby wysłuchiwać kpín, to bardzo się pan myli! Proszę stąd odejść.

Traper skinął głową.

- Tak też sędzę. Nie mam zresztą czasu. Żegnam. Ale zamiast się cofnąć, wszedł do wnętrza.

- Proszę stać! - zawołał odźwierny. - Nie to miałem na myśli. Nie może pan tam iść.

- Dowiodę panu, że przeciwnie.

Mówiąc to, podniósł odźwiernego niby piórko i postawił obok siebie. Ale nie zrobił jeszcze pięciu kroków, gdy stróż porządku chwycił go znowu i zawołał:

- Ostrzegam pana! Jeśli nie odejdzie pan dobrowolnie, będzie aresztowany za zakłócenie spokoju!

- Chciałbym widzieć tego, co by się ośmielił mnie zatrzymać! - wyrwał się zrećźnie i wbiegł na schody. Odźwierny za nim. Zaczęli się szamotać.

W tym momencie na schodach ukazał się starszy pan, zwyczajnie ubrany, w czapce na głowie. Chód miał mocny i pewny, postawę wojskową, ale na twarzy wyraz pobłażliwej przychylności. Odźwierny, ujrzawszy go, natychmiast puścił trapera i stanął w postawie pełnej szacunku. Sępi Dziób wykorzystał to i w dwóch susach znalazł się przy mężczyźnie. Przyłożył rękę do kapelusza i uklonił się.

- Good morning, old man! Czy może mi pan powiedzieć, gdzie znajdę ekscelencję od ministra von Bismarcka? Starszy pan przyjrzał mu się uważnie.

- Chce pan rozmawiać z ekscelencją? Kim pan jest?

- Hm. To mogę powiedzieć tylko wysokości od jego ministra.

- Był pan z nim umówiony?

- No, my old master.

- W takim razie będzie pan musiał odejść z kwitkiem.

- Na to nie mogę się zgodzić. Mam do Bismarcka bardzo ważną sprawę.

- Prywatną?

Old master wywarł duże wrażenie na westmanie.

- Właściwie nie powinienem rozmawiać z panem - odparł po chwili namysłu - ale zrobię wyjątek, bo uważam pana za dżentelmena. Nie, to nie jest sprawa prywatna. Więcej nie mogę zdradzić.

- Czy nie zna pan kogoś, kto mógłby cię wprowadzić do jego ekscelencji?

- Owszem. Ale nie ma go tutaj. To porucznik huzarów gwardii. Nazywa się Kurt Unger. Przyjdzie na pewno później, a ja nie chciałem dłużej czekać.

Coś drgnęło na twarzy starszego pana.

- Znam porucznika. Specjalnie przyjeżdża do Berlina, aby pana zameldować hrabiemu von Bismarckowi?

- Tak.

- Sądziłem, że jest za granicą.

- Opóźnił swój wyjazd, ponieważ w Reinswalden dowiedział się ode mnie rzeczy, które uważał za stosowne przekazać ministrowi.

- W takim razie zastąpię porucznika i wprowadzę pana do von Bismarcka. Oczywiście musi mi pan powiedzieć, kim jest.

- Dobrze, ale nie tutaj. Nie chcę, by słyszał odźwierny. Starszy pan uśmiechnął się i zaprowadził trapera do przedpokoju.

- Teraz jesteśmy sami. Może pan mówić.

- Ale tu znowu ktoś stoi jak słup soli. Mężczyzna skinął i lokaj oddalił się natychmiast.

- Jestem myśliwym z prerii i kapitanem dragonów Stanów Zjednoczonych, my old friend.

- Czy to, co pan nosi, jest uniformem armii amerykańskiej?

- Nie. Jeśli pan to uważa za mundur, to musi się pan diabelnie mało znać na sprawach wojskowych! Lubię sobie pożartować. Włożyłem ten strój, aby się zabawić kosztem innych.

- Dziwne upodobanie! Ale do rzeczy. Jeżeli mam pana przedstawić ministrowi, muszę wiedzieć, co sprowadza pana do niego.

- Właśnie tego nie wolno mi zdradzić.

- W takim razie nie mogę pana zaprowadzić do von Bismarcka. Dodam tylko, że hrabia nie ma przede mną tajemnic.

- A więc jest pan niejako jego zaufanym adiutantem?

- Tak mniej więcej można by mnie nazwać.

- No więc zaryzykuję. Przybywam z Meksyku.

Na twarzy starszego pana pojawił się wyraz zaciekawienia.

- Czy brał pan udział w tamtejszych walkach?

- Oczywiście, my old friend. Z początku byłem przewodnikiem pewnego Anglika, który przywiózł Juarezowi pieniądze i broń.

- Towarzyszył pan lordowi Drydenowi?

- W górę Rio Grandę del Norte, dopóki nie znaleźliśmy Juareza.

- A więc zna pan Juareza?

- O, wielokrotnie z nim rozmawiałem.

- Jak tam się rzeczy mają z jego przeciwnikiem, Maksymilianem?

- Kiepsko. Jego władza zagrożona, tron tak samo. Jako Amerykanin i zwolennik Juareza, niewiele sobie z tego robię. Ale ubolewam, że sromotnie oszukano tego człowieka. Ach, zdradziłem panu tyle, że właściwie mogę pokazać swoje dokumenty.

Starszy pan przejrzał je szybko, jeszcze raz zmierzył trapera wzrokiem od stóp do głów i zauważył:

- Dziwacznicy są tam u was ludzie...

- Tu też - przerwał myśliwy.

- Teraz przedstawię pana hrabiemu, gdyż...

W tym momencie naprzeciw nich otworzyły się drzwi i ukazał się w nich von Bismarck. Głośna rozmowa, prowadzona w przedpokoju, przeszkadzała mu w pracy i zaintrygowała go.

- Wasza królewska mość jeszcze tutaj? - zapytał z ukłonem, zwracając się do starszego pana.

- Wasza królewska mość? - powtórzył zaskoczony Sępi Dziób. Von Bismarck spojrział na niego niemal z lękiem. Natomiast nazwany królewską mością uśmiechnął się przyjaźnie.

- Nie powinien się pan przerażać.

- Ani mi się śni! - zawołał traper. - Ale jeśli ten master nazywa pana królewską mością, to jest pan chyba królem pruskim?

- We własnej osobie.

- Niech to piorun trzaśnie. Co ze mnie za osio! Ale skąd niby miałem wiedzieć? Starszy, miły pan schodzi cicho i spokojnie po schodach, pyta o to i owo, i okazuje się, że jest królem pruskim! No, Sępi Dziobie, za jakiego głupca będzie cię teraz król uważał!

- Sępi Dziobie? Któż to znowu? - zapytał król.

- To ja sam. Na prerii każdy ma swoje przezwisko. Hukaj jakiś nadał mi takie z powodu mego nosa. Ale, wasza królewska mość, kim jest ten pan?

- To właśnie hrabia von Bismarck, do którego panu tak pilno.

Jankes szeroko otworzył usta.

- Co? To jest von Bismarck? No, inaczej go sobie wyobrażałem!

- Mianowicie jak?

- Jako małego, szczupłego i zaszuszonego, słowem prawdziwego gryziopiórka. Proszę waszą królewską mość, abyś powiedział master ministrowi, kim jestem.

Król z uśmiechem podał hrabiemu dokumenty Sępiego Dzioba.

Von Bismarck przejrzał je i rzekł:

- Proszę, kapitanie.

Wszyscy trzej weszli do gabinetu. Donośne głosy dochodzące ze środka świadczyły, że toczy się tam ożywiona rozmowa.

Gdy gospodarz wrócił z komisariatu do hotelu, już od progu pytał, co robi cudzoziemiec.

- Je śniadanie - odpowiedział starszy kelner.

- Nie wolno mu wyjść z domu, dopóki nie zjawi się policja. Gospodarz wszedł na pierwsze piętro i usiadł na krześle stojącym w sieni.

Nie minął kwadrans, a nadeszli policjanci. Przedsięwzięto środki ostrożności. Koło domu i naprzeciwko spacerowali po trotuarze tajni agenci, nie spuszczać wzroku z okien i drzwi gospody. Obstawiono się i podwórze, a dorożka czekała za rogiem, aby zawieść aresztowanego do komisariatu.

Trzej policjanci weszli na górę.

- Czy nie wyszedł? - najstarszy rangą zapytał szeptem gospodarza.

- Gdzie tam! Wcale się nie pokazał.

- Gdzie mieszka?

- Pod „jedyką”, tam.

Urzędnik podeszedł do wskazanych drzwi. Starszy kelner zbliżył się do niego party ciekawością, ale gospodarz ostrzegł:

- Nie waż się pan wchodzić tam pierwszy!

- Tak gorąco chyba nie będzie.

- Co pan wie o maszynie piekielnej, w dodatku podobnej do puzonu!

Urzędnik powtórnie zwrócił się do gospodarza:

- Mówił pan, że ten człowiek rozmawiał z pokojówką. Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli ona wejdzie pierwsza.

- A jeśli ją zastrzeli?

- Prędzej by to nas spotkało. Dziewczyna nie wzbudzi jego podejrzeń. A nam opowie, przy czym go zastała.

Pokojówka podeszła do drzwi i zastukała. Powtórzyła parokrotnie, jednak nie było odpowiedzi. Weszła więc. Dość długo czekali na nią. Kiedy pojawiła się w drzwiach, troska malowała się na jej twarzy.

- No? - szepnął najstarszy stopniem funkcjonariusz. - Co on porabia?

- Nie wiem. Nie ma go w przedpokoju ani w pierwszym pokoju. Zapewne jest w sypialni, bo zamknięta.

- Może śpi? Stukała pani?

- Tak. Ale nie odpowiedział.

- Był zapewne bardzo zmęczony i śpi jak zabity. Gdzie są jego rzeczy?

- Chyba w sypialni.

- Być może pracuje nad swoją bronią i tylko udaje, że śpi. Teraz pójdziemy tam razem z panią.

Policjanci weszli po cichu, pokojówka za nimi. Na stole stały jeszcze talerze po śniadaniu.

- Proszę zapukać! - rozkazał dowodzący akcją. Dziewczyna zastukała, ale na próżno. Zapukała mocniej, też bez rezultatu.

- Sam spróbuję - zdecydował.

Podszedł do drzwi i zaczął w nie walić pięściami. Nikt się nie odzywał. Policjant wyjrzał przez okno i stwierdził, że ulica jest dobrze strzeżona. Zapukał ponownie i równocześnie zawołał głośno.

- W imieniu prawa, niech pan otworzy!

Znowu odpowiedzią było milczenie.

- Musimy sami otworzyć. Wytrych! Nachylił się, aby zbadać otwór zamka.

- Niech to piorun trzaśnie! Zatkany!

- Czy włożył klucz od wewnątrz? - zapytał ktoś.

- Nie. Wetknął coś z tej strony.

- A więc nie ma go tam.

- Chyba nie.

Każdy po kolei badał otwór. Tkwił w nim stalowy przedmiot, którego niepodobna było usunąć.

- To ci checa! Uciek! - zawołał jeden z policjantów.

- Oby tylko to! - Jego przełożony zwrócił się do pokojówki: - Powiedział pani, że zamierza udać się do von Bismarcka?

- Tak.

- A więc nie wolno nam zwlekać! Minister w niebezpieczeństwie! Chodźcie ze mną, panowie! Musimy natychmiast jechać do von Bismarcka. Obstać gospodę!

Policjanci w oka mgnieniu wsiedli do dorożki i pojechali co koń wyskoczy.

Ledwo zniknęli, przed gospodą zatrzymał się inny pojazd. Pasażerem, który wysiadł, był Kurt Unger. Nie miał pojęcia o tym, co się zdarzyło, i nie wiedział również, że przechodnie, którzy kręcili się tam i z powrotem, są agentami policji strzegącymi gospody. Wszedł do izby i kazał podać sobie szklankę wina.

Kilka minut później pojawiła się tam pokojówka. Natychmiast poznała Kurta i podeszła do stolika.

- Pan tutaj, panie poruczniku? A więc to prawda, że miał pan przybyć do nas?

- Skąd pani wie?

- Od pewnego człowieka, którego teraz chcą aresztować.

- Co przeskrobał?

- Zamierza podrzucić piekielną maszynę.

- Na miłość boską!

- Tak, cały dom jest strzeżony, a policja pojechała do von Bismarcka.

- Dlaczego do niego?

- Ponieważ na niego właśnie zaplanowano zamach.

- Okropność! Kim jest ten łajdak?

- Amerykańskim kapitanem. To on oczekiwał tu pana. Twierdził, że się pan z nim umówił.

- Jak wyglądał?

- Miał straszliwie długi nos.

- I to jego szuka policja?

- Tak. Gospodarz im doniósł, że ten człowiek chce zamordować von Bismarcka. Ma przy sobie broń, a także maszynę piekielną.

- Brednie! A więc poszedł do von Bismarcka?

- Tak.

- I policja go ściga?

- Tak.

- Nie mam chwili do stracenia. Muszę tam iść natychmiast! Wskoczył z gospody, wsiadł do dorożki i kazał jechać pełnym galopem.

Tymczasem rozmowa Sępiego Dzioba z obu dostojnymi mężami dobiegła końca. Polecili mu na pożegnanie, by spokojnie czekał na dalsze polecenia, a także, by przekazał Kurtowi, że natychmiast po przybyciu ma się zameldować u von Bismarcka.

Zadowolony z siebie traper kroczył po ulicach Berlina. Wprawdzie szedł inną drogą niż poprzednio, ale jego zmysł orientacji nie pozwolił mu zabłądzić. Niebawem dotarł do gospody.

Kiedy wszedł do izby z wyszynkiem, zaroilo się w niej od tajnych agentów, których wzięto za gości hotelowych. Ledwo usiadł przy stoliku, jeden z detektywów podszedł do niego i zapytał:

- Pozwoli pan? Czy nie spotkaliśmy się kiedyś?

- Idź pan do diabła - mruknął Sępi Dziób.

- Jeśli jeden z nas ma iść do diabła, to z pewnością nie ja. - Jankes ze zdziwieniem spojrzał na nieznajomego.

- Hola, chłopcze, szukasz ze mną zwady?

- Może - roześmiał się detektyw. - Zna pan to?

Wyjął z kieszeni niby monetę i podsunął traperowi pod oczy.

- Wynoś się ze swoimi pieniędzmi! - krzyknął myśliwy. - Jeśli jeszcze raz podetkniesz mi pod nos ten mosiądz, rozprawię się z tobą

nie na żarty!

- Nigdy nie widział pan tego znaku? To mój dowód. Jestem wachmistrzem tutejszej policji.

Traper nadstawił ucha. Obejrzał się dokoła i zrozumiał, że ma przed sobą tajnych agentów.

- A więc jest pan policjantem? Pięknie. A czego pan chce ode mnie?

- Po prostu bardzo się panem interesuję. Chciałbym przede wszystkim, abyś mi pan szczerze odpowiedział na kilka pytań. Sępi Dziób znów obrzucił wzrokiem izbę, po czym rzekł:

- Dziwny to naród ci Niemcy! Nikt nie jest tak skory do aresztowania jak wy.

- Tak pan sądzi?

- Do pioruna! Odczułem to na własnej skórze. Od wczoraj rano już po raz trzeci chcą mnie uwięzić.

- A więc wczoraj już dwukrotnie pana aresztowano? I wykręcił się pan?

- Jak pan widzi.

- No, teraz się panu nie uda!

- A jednak myślę, że tak.

- Postaram się o to, obiecuję. Zechce pan łaskawie podać mi rękę. Wachmistrz wyjął z kieszeni kajdanki. Amerykaninowi tego już było za wiele. Podniósł się i zawołał:

- Co!?! Chcecie mnie zakuć w kajdany? Niedoczekanie wasze! Nie urodził się jeszcze taki, który ośmieliłby się mnie dotknąć! Co wyrządziłem tym drabom, że osaczają mnie jak psy zwierzynę? - Wskazał na agentów, którzy otoczyli go ciasnym kołem; w bezpiecznym zaś oddaleniu stał gospodarz z pracownikami i przyglądał się zajściu.

- Co pan nam wyrządził? Nam absolutnie nic. Ale wie pan chyba lepiej od nas, co zamierza zrobić. Nazywa się pan Wiliam Saunders?

- Póki żyję i żyć będę.

- Jest pan kapitanem armii Stanów Zjednoczonych?

- Tak.

- Gdzie pan był przez ostatnie kilka godzin?

- Na spacerze.

- W jakim miejscu?

- Nie znam nazw ulic.

- Czy nie obejrzał pan sobie czasem rezydencji von Bismarcka?

- Być może.

- Okrutny z pana grzesznik! Inny by zbladł, zadrżał, dowiedziawszy się, że odkryto jego zamiary! Pan zaś pozostaje spokojny.

- Niech mnie pan w tym drzeniu wyręczy.

- Niebawem przestanie pan żartować! Wszystko o panu wiemy! Ma pan cały arsenał broni, a w dodatku jakąś strzelbę piorunującą, maszynę piekielną, czy coś w tym rodzaju. Przyznaje się pan?

Westman ze zdziwieniem spojrział na policjanta.

- Strzelbę piorunującą? Maszynę piekielną?

- Tak, z mosiądzu czy metalu armatniego.

Teraz dopiero Sepi Dziób zrozumiał, co się święci. Z trudem pohamował śmiech.

- Nic o tym nie wiem.

- To się zaraz okaże! Dlaczego zamknął pan sypialnię?

- A dlaczego miałem tego nie zrobić?

- Musi ją pan otworzyć. Chcemy sprawdzić pański bagaż.

- Jestem w pańskiej mocy. Ale ostrzegam: z moją bronią nie każdy umie się obchodzić!

- Nie martw się pan o to, będziemy ostrożni.

Sepi Dziób pozwolił sobie nałożyć kajdanki. Zaprowadzono go do jego apartamentu na piętrze. Przed drzwiami sypialni wachmistrz spytał ponownie:

- Po co zamknął pan drzwi?

- Nie chciałem, by grzebano w moich rzeczach. Czy to nie oczywiste?

- Nie tylko jednak zabrał pan klucz, ale na domiar zatkał otwór w zamku. Czy pańskie tajemnice są aż tak niebezpieczne?

- Niech się pan sam przekona!

- Przedtem musi pan otworzyć. Co tkwi w otworze?

- Śruba patentowa.

- Proszę ją wyjąć!

Sepi Dziób wyciągnął z kieszeni kamizelki cienki pręcik i włożył w otwór zamka. Naciągnął sprężynę i wyjął śrubę. Drzwi można już było otworzyć. Ale wachmistrz ani sam nie miał odwagi wejść do środka, ani nie pozwolił innym.

- Ostrożnie! - rozkazał. - Tam przypuszczalnie znajdują się materiały wybuchowe. Pierwszy wejdzie aresztowany.

Tajniacy chwycili trapera i popchnęli do sypialni. Dopiero po chwili weszli za nim. Wachmistrz rozglądał się uważnie. Dostrzegłszy strzelbę, wziął ją ostrożnie w ręce.

- Co to za broń?

- Strzelba Kentucky.

- Nabita?

- Nie.

- Przecież to nie strzelba, tylko drąg! Jak można z tego strzelać?

- Policjant nie dokonałby tej sztuki, to pewne! Urzędnik puścił kpinę mimo uszu i zajął się nożem.

- A ten sztylet do czego służy?

- Sztylet? Do pioruna! Nóż Bowie chyba różni się od sztyletu?

- Nóż Bowie? Czy zakłuwał pan nim ludzi?

- Tak.

- Straszne! A te rewolwery? Czy pan z nich strzelał do ludzi?

- Naturalnie. Świetny lionński towar, doskonale trafiają. Zresztą nie aresztowano mnie chyba po to, abym robił wykład o broni.

- Faktycznie nie po to. Niech pan powie, co to za przedmiot, na którym leży pańskie ubranie?

- Maszyna piekielna.

- Niech to piorun trzaśnie! Czy nabita?

- Gotowa do wybuchu.

- Panowie! - wachmistrz zwrócił się do policjantów. - Zalecam największą ostrożność! Trzymać tego człowieka mocno, aby się nie mógł poruszyć. Czym jest wypełniona ta maszyna?

- Powietrzem.

- A więc gazami wybuchowymi! Czy samo jej dotknięcie grozi detonacją?

- Nie.

- Jak więc się ją uruchamia?

- Po prostu trzeba dąć.

Wachmistrz powoli zaczął zdejmować koszulę, spodnie, bluzę i parę skarpetek leżących na instrumencie; brał każdą rzecz dwoma palcami i odkładał na bok. Odsapnął chwilę i przymierzywszy się kilka razy, z największą ostrożnością, niczym bombę o płonącym loncie, podniósł machinę.

- Lekka jak zwykły puzon - zdziwił się. - No tak. Gazy wybuchowe są przecież lżejsze od powietrza.

Chciał widać zbadać jej konstrukcję i zajrzeć do środka, bo uniósł ją jeszcze wyżej i ustnik przyłożył do oka. W tym momencie wypadła może jakaś śrubka czy coś innego się stało, w każdym razie cięższa część puzonu runęła na podłogę.

Wachmistrz krzyknął i znieruchomiał, oczekując pewnej śmierci. I wtedy rozległ się wybuch, ale zgoła innego rodzaju. Sępi Dziób nie mógł się dłużej powstrzymać i wybuchnął tak gromkim śmiechem, że zdawało się, iż mury zadrżały. Ten śmiech był tak zaraźliwy, że wszyscy mu zawtórowali. Nie ulegało już bowiem wątpliwości, że rzekoma maszyna piekielna jest zwyczajnym, starym puzonem.

Wachmistrz stał w pierwszej chwili osłupiały. Doszedłszy do siebie, rzucił na podłogę drugą część instrumentu i huknął na trapera:

- Człowieku, zdaje się, że pan zakpił ze mnie!

- A z kogo innego miałbym kpić?

- Wypraszam sobie! Czy nie przyznał się pan, że ma broń?

- A czy jej nie mam?

- I maszynę piekielną?

- To właśnie ona.

- Miała być nabita...

- Powietrzem. Czy to nieprawda?

- Miała eksplodować.

- Kiedy się w nią dmie. Chyba pan nie zaprzeczy?

- Ten żart nie ujdzie panu płazem! Poza piekielną maszyną są wszak inne jeszcze powody do aresztowania. Ma pan broń. A zezwolenie?

- Mam, tu w przedniej kieszeni fraka. Niech pan wyjmie sam, skoroś mnie tak spętał!

Urzędnik wyciągnął dokument i przeczytał.

- Zezwolenie jest prawdziwe, ale to nie zmienia sytuacji. Powiedział pan pokojówce, że chce się spotkać z ministrem von Bismarckiem?

- Tak.

- I że nie będzie pan sobie robił z nim wiele ceregieli?

- Nie. Powiedziałem tylko, że u von Bismarcka poradzę sobie bez ceregieli, jeśli nie będą chcieli mnie wpuścić.

- To wybieg.

- Spytaj pan pokojówki.

Dziewczyna potwierdziła, że aresztowany istotnie tak powiedział. Wachmistrz znowu stracił argument, ale próbował dalej:

- Spróbuj no pan dostać się do ministra! W dodatku w tym stroju!

- Ba! Prędzej wpuszczą mnie niż takiego, co stary puzon bierze za maszynę piekielną! Zresztą, mogę panu oświadczyć, że byłem już u von Bismarcka.

- Niby kiedy? - zapytał urągliwie policjant.

- Właśnie wróciłem od niego, kiedy zaaresztował mnie pan tutaj.

- Naturalnie wpuszczono pana od razu?

- Tak. Jego królewska mość był łaskaw mnie wprowadzić do ministra.

- Obłąkaniec!

- Wcale nie! Prawdę mówi!

Wszyscy się odwrócili. Przy drzwiach stał Kurt Unger, a za nim policjanci, którzy pojechali do ministra, aby go ostrzec i tam dowiedzieli się, że Sępi Dziób nie jest zamachowcem. Starszy wachmistrz rozkazał zdjąć Jankesowi kajdanki, a następnie zwrócił się do niego:

- Panie, stała się panu wielka krzywda. Winę ponoszą ci, którzy pana niesłusznie posadzili, mianowicie gospodarz i kelner. Może ich pan pociągnąć do odpowiedzialności, wszystko potwierdzimy. Ale ja także proszę o wybaczenie i gotów jestem dać panu satysfakcję. Proszę, niech pan powie, jakiego zadośćuczynienia pan żąda.

Sępi Dziób rozejrzał się dokoła. Po twarzy przemknął mu uśmiech.

- A więc dobrze. Muszę otrzymać satysfakcję. Ten pan - wskazał na wachmistrza - uznał mój puzon za maszynę piekielną. Żądam, aby przyjął go ode mnie w podarunku i przechowywał jako pamiątkę tego ważnego dnia, kiedy omal nie ocalił życia von Bismarckowi.

Zrobiło się wesoło, śmiał się nawet wspaniałomyślnie obdarowany wachmistrz.

- Niczego więcej pan nie żąda? - zapytał starszy wachmistrz.

- Nie. To mi wystarczy. A teraz chciałbym zostać sam. Wszyscy obcy opuścili pokój. Pozostał tylko Kurt. Dopiero teraz przyjrzał się Amerykaninowi i parsknął śmiechem.

- Człowieku! Co pana skłoniło do tej maskarady?

- Takie już mam usposobienie - odpowiedział pogodnie traper.

- W drodze też pan urządzał kawały. W Moguncji aresztowano pana.

- Rzeczywiście.

- Później wyproszono pana z przedziału...

- Ale przyjechałem pociągiem specjalnym.

- I o tym wiem. A co najważniejsze, wspaniale pan rozegrał kolejną partię, każąc aresztować pułkownika i podporucznika.

- Nic się przed panem nie ukryje!

- Nie ma w tym mojej zasługi. Po prostu w pociągu, którym jechałem, opowiadano sobie pańską przygodę. Z opisu domyśliłem się że to pan. Nawiasem mówiąc, obaj oficerowie są moimi osobistymi wrogami. Jechali do Berlina specjalnie z mojego powodu. Zemściłem się w ten sposób, że wysiadłem na tamtej stacji i ustaliłem ich tożsamość. Kiedy wypuszczono ich na wolność, chcieli mnie zmusić do pojedynku, ale oświadczyłem w obecności osób postronnych, że ludzie spoliczkowani przez wędrownego grajka nie są godni satysfakcji. Dzięki temu pozbyłem się ich na zawsze.

Z BARCELONY DO VERACRUZ

Starym hiszpańskim zamkiem rodowym hrabiego de Rodriganda y Sevilla rządził od lat osiemnastu „hrabia” Alfonso Cortejo i jego rodzice: Clarisa i Gasparino.

Starzy Cortejowie siedzieli pewnego styczniowego wieczoru 1867 roku w jednym z wielu pokojów zamkowych. Ogień wesoło trzaskał we wspaniałym marmurowym kominku, na stole stała obfita kolacja.

Błogi nastrój zakłóciło ciche pukanie do drzwi. To lokaj przyniósł pocztę. Gdy wyszedł, Cortejo rzucił okiem na koperty.

- List z Meksyku! - zawołał i szybko zagłębił się w lekturze. Po chwili westchnął i opadł na poduszki kanapy. Clarisa popatrzyła nań zatrwożona i zdumiona zarazem. Wyjęła mu list z ręki i głośno zaczęła czytać:

Drogi Stryju!

Piszę w największym pośpiechu z hacjendy del Erina. Stało się coś bardzo ważnego i zarazem okropnego. Hrabia Fernando zbiegł z niewoli i powrócił do Meksyku. To jednak jeszcze nie wszystko. Oto, ku memu przerażeniu, jak spod ziemi zjawili się inni nasi wrogowie, o których śmierci byliśmy od dawna przekonani. Są to: Sternau, obydwaj

Ungerowie, Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce, Emma Arbellez, Karia i Mariana! Landola wywiódł nas w pole. Ci, których miał zgładzić, żyją. Wywiózł ich na bezludną wyspę, skąd uciekli. Przebywają teraz w forcie Guadalupe, u naszego wroga Juareza. Jestem chora, ojciec wyjechał. Zawiadomiłam go o wszystkim, aby przedsięwziął odpowiednie kroki. Jeżeli się nie uda unieszkodliwić tych ludzi, jesteśmy zgubieni.

Twoja do głębi poruszona

Josefa

Clarisa i Gasparino nie przeczuwali nawet, że podane w liście fakty są już grubo spóźnione. Nie tylko wrogowie Cortejów, lecz sam Pablo i Josefa znajdowali się w rękach domniemanego doktora Hilaria.

Clarisa bezradnie opuściła ręce.

- Więc wszyscy żyją! To straszne! Nie dane nam zaznać spokoju! - lamentowała.

- Przestań zawodzić! Trzeba działać. Musimy zacząć od hrabiego Fernanda. Mści się na nas łagodność Pabla.

- I jego nielojalność wobec nas. Sam mówiłeś, że chciał nas trzymać w szachu, pamiętasz?

- No właśnie, nie był wobec nas szczery ani uczciwy. Alfonso dziedziczy hrabiostwo. Miał ożenić się z Josefa. Pablo i Josefa nigdy nam nie przebaczyli, że jej nie chciałam, choć załatwiliśmy im meksykańskie dobra.

- Masz rację, Gasparino. Co jednak sądzisz o pojawieniu się naszych wrogów. Czy to nie jakaś sztuczka Josefy?

- Nie. Jestem przekonany, że Landola z własnej inicjatywy darował życie tej całej bandzie.

- Ale po co? Działałby na własną szkodę.

- Tak, teraz. Inaczej jednak rzecz się miała przed ich ucieczką. Wynagrodziłem go sownie, ale ten człowiek zdolny jest wydusić, co się tylko da. On zdecydował o losie więźniów. Postanowił opróżnić moją kiesę. Nie rozumiem tylko, dlaczego jeszcze się nie upomniał.

- Zgłosi się, zobaczysz!

- To łotr! Jak mądrze wszystko zaplanował! Przecież Rodrigandowie byli zupełnie bez szans! Hrabia Manuel nie mógł nic zrobić! Nieraz śmiałem się do rozpuku z bezradności tego starca, którego zgubił własny testament. Musiał przyglądać się z daleka, jak sępy wdzierają się do jego gniazda, z którego przepędziły sokoła wraz z potomstwem. To była farsa! A teraz?

Chciwość Landoli pogrzebała wszystko. Jesteśmy znowu w punkcie wyjścia, jak przed osiemnastu laty. Można oszaleć!

- Co robić? Trzeba pozbyć się tych ludzi jak najprędzej.

- Zostawiam to memu bratu. Dla mnie osobą ważniejszą od Sternaua i Mariana jest Landola. Bez jego świadectwa niewiele nam będzie można udowodnić.

- Musisz go zabić.

- Naprzód muszę z nim porozmawiać. Może nam się jeszcze przydać.

- Czy wiesz, gdzie jest?

- Tak. W Barcelonie. Na pewno popełnił w Niemczech jakieś przestępstwo, gdyż ukrywa się nawet przed hiszpańską policją. Napisz zaraz do Madrytu do Alfonsa. I on powinien się dowiedzieć, co zaszło. Trzeba będzie obmyślić wspólnie plan działania. Tymczasem wyjeżdżam do Barcelony. Nie wolno tracić ani chwili.

Ruszył w drogę jeszcze tej nocy. Przybywszy do Barcelony, zostawił powóz w gospodzie i udał się pieszo na jedną z bocznych uliczek. Wszedł do skromnego i ciasnego mieszkania biednego krawca, który dla podreperowania finansów odstąpił pokój przyjezdnym. Teraz sublokatorem był kapitan Enrique Landola, ukrywający się pod fałszywym nazwiskiem.

Gdy tylko Cortejo zamknął drzwi za sobą, Landola zaczął się skarżyć na brak zajęcia.

- Nie musi się pan martwić z tego powodu. Przynoszę polecenia, które rozpędzą nudę.

- Bardzo się cieszę. Zresztą i tak nie wytrzymałbym tutaj długo. Czy pan wie, że zaprzestano już mnie poszukiwać, a to mi nie odpowiada. Nie cierpię bezczynności!

- Doskonale! W takim razie natychmiast dam seniorowi robotę.

- Jakiego rodzaju?

- Podróż do Meksyku. Pewne wysoko postawione osoby wyraziły niezadowolenie z faktu, że ciało hrabiego Fernanda leży w Meksyku, a nie w grobowcu rodzinnym Rodrigandów. Trzeba więc przywieźć tutaj trumnę ze zwłokami hrabiego. Podjąłby się pan tego?

- Niech to diabli porwą! - Landola był niezadowolony. - Trup na pokładzie zawsze przynosi nieszczęście!

- Przesąd! Nie zauważyłem dotychczas, żeby senior był przesądny.

- Niech chłop leży tam, gdzie go zakopano!

- Gdzie?

- No, w Meksyku. A gdzieżby indziej?

- Może w niewoli?

Landola skoczył jak oparzony i popatrzył na Corteja przenikliwie.

- W niewoli? Co pan przez to rozumie?

- Że hrabia został sprzedany. Nie będzie pan chyba temu przeczył?

- Kto naopowiadał tych bzdur, co?

- To nie bzdury. Znam dokładnie każdy szczegół pańskiej zdrady. Alfonso już dawno powiedział mi o wszystkim.

- Do licha! A więc pański brat nie trzymał języka za zębami i zwierzył się bratankowi?! Co za rodzinka!

- Do poleceń Pabla przywiązywał pan większą wagę niż do moich?

- Tak. Przecież wypadki tam się rozegrały. Musiałem się z nim liczyć.

- Pięknie, nie ma co! Czy i później stosował się pan do jego poleceń? Na przykład w sprawie Sternaua i towarzyszy?

- Przecież nie żyją!

- A może są również w niewoli!?

- Nonsens!

- Może wysadzono ich na bezludnej wyspie?

- Co też pan bredzi!

- Miałem sen. Śniło mi się, że z pewnych przyczyn nie zabito jeńców. Śniło mi się, że zostali zawiezieni na bezludną wyspę, aby na wypadek jakiegoś zatargu ze mną miał ich pan pod ręką. Wszyscy chodzą teraz wolni po Meksyku, a raczej, ściśle mówiąc siedzą w głównej kwaterze Juareza.

Landola usiłował ukryć przerażenie.

- Musiały to być upiory! - próbował zażartować.

- W takim razie upiorem jest i don Fernando, który pozostał przecież przy życiu, czemu pan przed chwilą nie zaprzeczył.

- Don Fernando razem z nimi? Co to za bajki?!

- Bajki? I pan ma czelność tak mówić! Więc przypuszcza senior, że po to przyjechałem z Rodrigandy do Barcelony, aby opowiadać bajki?!

Landola zdołał się już opanować. Nie wątpił, że jest zdemaskowany. Postanowił więc storpedować zarzuty. Zaatakował ostro.

- Pan śmie mówić o czelności? - rzekł tonem pozornie chłodnym, który jednak świadczył o najgłębszym wzburzeniu. - Jakim prawem odzywa się pan tym tonem do mnie? Nie jestem łotrem. - Cortejo wzruszył ramionami.

- Czy można inaczej nazwać człowieka poszukiwanego przez policję?

- Senior! - Landoła podniósł głos. - Policja poszukuje mnie z powodu mojej działalności politycznej. Wie pan przecież, że na zlecenie władz hiszpańskich objeżdżałem środkową Europę. Prusy żądają wydania mojej osoby.

- Tylko dlatego, że był senior szpiegiem? To wierutne kłamstwo!

- Senior Cortejo!

- Powtarzam: to kłamstwo! Ministrowi pruskiemu nie przyjdzie nawet do głowy żądać od Hiszpanii, by pana wydała. Hiszpania zaś wyśmiałaby go za takie żądanie. Nie wydaje się przestępców popolitych. A tymczasem poszukują pana. Wy tłumacz mi, senior!

- To gra dla zachowania pozorów i uspokojenia Niemców.

- Phi, znam lepiej całą sprawę. Sądzi pan, że nie mam znajomych w pewnych kołach? Wyplacono panu dużo pieniędzy za wykonanie polecenia i opłacenie kogo należy. Senior zaś zatrzymał wszystko dla siebie. Po prostu sprzeniewierzył pieniądze. Ot co!

- Senior Cortejo, niech pan to natychmiast odwoła!

- Ani mi się śni. Wiem, że tutejsze władze poszukują pana właśnie za to przestępstwo. Nie ma to żadnego związku z polityką państwa. Na pewno pana złapią.

- Niech tylko spróbują.

- Jest pan zbyt pewny siebie! Co by się stało, gdybym zawołał pierwszego z brzegu policjanta i powiedział, że tutaj jest Landoła?

- Miałbym w więzieniu towarzysza, opowiedziałbym wszystko, co mi o panu wiadomo.

- Zabrakłoby seniorowi odwagi, ponieważ jako współlnik wypełniający moje polecenia, otrzymałbyś równie surową karę, co ja.

- I to mogło by mnie powstrzymać?

- Jestem pewien.

- A więc pan się myli! Przed chwilą usłyszałem, że poszukują mnie. Grozi mi więc śmierć lub długoletnie więzienie. Jeżeli tak, to zdradzając pańskie postęпки nie pogorszę swojego losu.

- Nikt by w nie nie uwierzył.

- Przedstawiłbym dowody. Mam ich wystarczająco dużo. Choćby listy i polecenia...

- Naprawdę? - Cortejo wzgardliwie wydał usta. - Przecież solennie postanowiliśmy zniszczyć wszystkie nasze listy.

- Sądzi pan, że ja zniszczyłem dokumenty? O nie, mam wszystkie przy sobie.

- esteś pan zdrajcą i kłamcą! Ale listy te będą również dowodem przeciw panu - Cortejo rozzłościł się na dobre.

- Oho! Któż mi tego dowiedzie?

- Ja. Zdradzę, że Landola i pirat morski Grandeprise to ta sama osoba.

- Przecież inicjatywa wyszła od pana, a i statek należał do pana. Dał senior pieniądze i otrzymał połowę zysków.

- Połowę? Jestem przekonany, że byłem bez skrupułów oszukiwany.

Landola uśmiechał się ironicznie.

- Może ma pan w tym wypadku rację, czcigodny panie. Rzecz zrozumiała, że dziewięćdziesiąt procent zysku pakowałem do własnej kieszeni.

- Dziewięćdziesiąt... Dziewięćdziesiąt procent! - krzyknął Cortejo.

- Tak. Pan siedział spokojnie w domu i czekał na pieniądze, a tymczasem ja z moimi chłopcami narażałem się na niebezpieczeństwo. Dlatego postanowiłem dawać panu dziesiątą część. I tak był to wielki majątek.

- Do licha! Miałeś, człowieku, dziewięć razy tyle co ja! Miliony!

Co zrobiłeś z tymi pieniędzmi?

- Przehulałem, przegrałem, przepiłem.

- Do diabła! Co za głupiec!

- Phi! Trzeba chwycić każdą chwilę, jeżeli nie wiesz, czy cię jutro nie powieszą. Aby pana jednak nieco uspokoić, powiem, że schowałem trochę pieniędzy.

- Ach! Więc jednak ukrył pan coś?

- Tak. I to mi zupełnie wystarczy, abym do końca życia nie potrzebował pracować.

- Zostań więc pan ze swoją zbójceją zdobyczą. Obiecuję, że będę postępować tak samo, jak senior ze mną.

- Może mi pan to bliżej wyjaśni? - Landola zaczął przyglądać mu się badawczo.

- Rozrachunki między nami nie zostały jeszcze zakończone.

- Jak to?

- Don Fernando żyje!
- Żądam dowodu, że tak jest istotnie.
- Pisze o tym moja bratanica. - Landola zbladł. Po namyśle odezwał się:
- Nie zginął, bo tak sobie życzył pański brat.
- Czy brat mój wyjaśnił, dlaczego trzeba usunąć don Fernanda?
- Tak, aby przygotować miejsce dla Alfonsa.
- W takim razie poinformował pana również, z jakich to powodów nie chciał dopuścić do śmierci hrabiego?
- Ani jednym słowem! Sam się domyśliłem. Czy wiadomo panu, że seniorita Josefa była zakochana w Alfonsie? Zamierzała zostać hrabiną de Rodriganda. Gdyby nią została, nie byłoby mowy o wyrwaniu z letargu hrabiego. Ale don Alfonso nie chciał o niej słyszeć...
- Ja również. To straszdyło na wróble miałyby zostać hrabiną de Rodriganda?
- Może ma pan rację. Josefa i jej ojciec wściekli się z tego powodu. Wy mieliście wszystko, oni nic. Chcieli zawładnąć meksykańskimi posiadłościami rodu Rodrigandów.
- Dopięli tego. Z meksykańskich włości nie otrzymałem ani peso.
- Nie żądał senior pieniędzy?
- Owszem, ale na próżno.
- Zaczynam rozumieć, dlaczego pański brat przestał interesować się starym hrabią. Chciał mieć broń przeciw wam na wypadek, gdybyście robili mu trudności w inkasowaniu pieniędzy. A to sprowadziłyby hrabiego. Zgubiłoby to i pana, i Alfonsa.
- Pablo musi za to odpokutować! Ale, do kroćset diabłów, jakże mógł senior dopuścić, aby mnie tak oszukiwano?
- Płacili dobrze. Najgorliwiej służę temu, kto dużo płaci.
- Łotr spod ciemnej gwiazdy! I oto skutki. Don Fernando znowu górą!
- Jak mu się udało zbiec?
- Nie wiem.
- Dokąd został wywieziony?
- Do Hararu. Dostęp do tego kraju jest niezwykle trudny. Byłem przekonany, że nie zdoła uciec. Nie pojmuję, w jaki sposób się wydostał.
- Zapewne kiedyś dowiemy się szczegółów. A co z pozostałymi, o których zatopieniu pan pisał?

Landola zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Może żyją jeszcze? Oświadczam, że nie utopiłem ich.

- Jeszcze pan kpi ze mnie? Nie widzę powodu do żartów. Sprawa jest poważna. Dlaczego ci ludzie nie zostali zabici?

- Po pierwsze otrzymałem za mało pieniędzy, po drugie zaś śmierć ich nie przyniosłaby mi żadnych korzyści. Rzadko kanalie są uczciwe, a myśmy obaj kanalie. Myślałem o tym, że może przyjdzie chwila, w której senior zapomni o wdzięczności. Przewidując tę okoliczność, nie pozbawiłem jeńców życia. Zostawiłem ich na wyspie położonej na Oceanie Spokojnym.

- Bardzo nierozsądne posunięcie! Przecież coraz więcej statków pływa po oceanie.

- Nierozsądne? Myli się senior. Tylko ja znam tę wyspę. Noga ludzka na niej nie stanęła.

- A jednak stanęła. Jeńcy uciekli.

- To rzeczywiście może mieć dla nas niebezpieczne skutki - rzekł Landola po chwili namysłu.

- Tym bardziej, że są teraz w głównej kwaterze Juareza. Landola zaczął spacerować po pokoju. Wreszcie stanął przed Cortejem i powiedział:

- Trzeba będzie pojechać do Meksyku i nadrobić to, cośmy zaniedbali.

- A więc zabić ich? Kto ma się tym zająć?

- Ja.

- Pan? Muszę się nad tym zastanowić. Trzeba zachować wyjątkową ostrożność. Przystąpię do interesu tylko w tym wypadku, gdy będę miał pewność, że ponownie nie zostaną oszukani.

- Hm, za ile?

- Czekam na propozycję.

- Ile wtedy dostałem? Dziesięć tysięcy duros, czy tak? Teraz żądam dwudziestu tysięcy.

- Najwyżej pięć.

- W takim razie nie mamy o czym gadać.

- Oho! - syknął Cortejo. - Pięć tysięcy albo nic. Zresztą sam pojedę. I sam dopilnuję wszystkiego.

- Naprawdę chce senior jechać? - zapytał Landola urażonym tonem.

- Przede wszystkim chciałbym odwiedzić mego kochanego brata Pabla. Poza tym pragnąłbym poznać bliżej szanowną bratanicę Josefę.

- Dlaczego właśnie teraz?
- Bo mi się tak podoba! Ponadto oszukał mnie pan!
- Ach, tak! Chce pan skontrolować mnie i moich ludzi!? Sądzi pan, że pozwolimy na to?
- Niezupełnie tak. Tym razem będziemy pracowali wspólnie.
- To zmienia postać rzeczy - Landola był dotknięty do żywego. - Nie należy więc tracić czasu.
- Wyruszamy natychmiast. Dowiem się tylko, jakie statki cumują w porcie.
- To zbyt cenne. Mam dobre informacje. Na kotwicy stoi tylko jeden, odpływa pojutrze do Rio de Janeiro.
- Bardzo dobrze. Wymknie się pan policji, a z Rio będzie łatwo dostać się do Meksyku.
- Ale jak się prześlizgnę na pokład? W Barcelonie wiedzą dobrze, że wysłano za mną list gończy.
- To drobiazg. Czy wie pan, co to takiego colle de face?
- Wiem. Słynna francuska szminka, która starą kobietę potrafi zmienić w młodą dziewczynę. Tuszuję się nią najgłębsze nawet zmarszczki.
- Można też włożyć perukę i przykleić brodę. Do tego fałszywy paszport, rzecz doskonale panu znana. - Landola uśmiechnął się.
- Fałszywy paszport to wynalazek szatana!
- Dobrze, dobrze. Wszystko dostarczę. Sam również muszę się zaopatrzyć. W Meksyku spotkamy z pewnością Sternaua i innych znajomych, musimy więc zrobić tak, aby nas nie poznali.
- Nie lepiej przebrać się dopiero w Meksyku?
- Nie. Może tam nie będziemy mieli okazji do zmiany nazwisk, wyglądu i paszportów. A zresztą, tam musimy wyglądać tak samo, jak tu w chwili wsiadania na statek.
- No tak. W przeciwnym razie mogłoby to wzbudzić czyjeś podejrzenia.
- Zdecydowałem, że pojedę jako Antonio Yeridante, adwokat i pełnomocnik hrabiego Alfonsa Rodrigandy. Moim zadaniem jest lustracja meksykańskich posiadłości hrabiego. Mam wystarczające pełnomocnictwa...
- Wystawi je pan sobie sam, prawda?
- Oczywiście. Z paszportem również nie będzie trudności. Wezmę jednak na wszelki wypadek swoje prawdziwe papiery.

- Że też pan o wszystkim pomyślał!
- Oczywiście będzie mi potrzebny sekretarz.
- Ja nim będę. Co za zaszczyt, co za honor!

Omawiali jeszcze przez jakiś czas szczegóły nowego planu. Wreszcie Landola zauważył:

- Musimy jeszcze ustalić, gdzie i kiedy się spotkamy.
- Będzie miał pan odwagę opuścić miasto w biały dzień? - zapytał Cortejo.
- Nie, zwłaszcza z pakunkami.

- Pozostanie więc pan tutaj do zmierzchu. Wieczorem uda się senior do lasku nad rzeką. Kiedy zbliży się powóz jadący w kierunku Manresy, zagwiżdże pan początek Marsylianki. No, teraz idę do portu zasięgnąć języka. Adios!

- Adios! Rozstali się.

- Do licha! - zaklął Landola. - A więc te kreatury uciekły! Zapewne dlatego, że przestałem się nimi interesować. Kto się jednak mógł tego spodziewać? Oczywiście mnie nic nie grozi, trzeba będzie jednak na wszelki wypadek pomyśleć o ukryciu się. Ale Cortejo i jego ludzie są zgubieni, jeżeli nie zdołają zdusić niebezpieczeństwa w zarodku. Hm, pięć tysięcy duros. Mało! Niech płaci szelma, niech płaci! Potem znajdę sobie jakiś piękny, odosobniony zakątek i będę w spokoju dożywał moich dni.

Cortejo tymczasem zdobył potrzebne informacje i poszedł do gospody. Przesiedział tam aż do wieczora, po czym pojechał do lasku. W umówionym miejscu ktoś zaczął gwizdać Marsyliankę, kazał więc woźnicy zatrzymać konie. Landola umieścił kufry na koźle i wsiadł do powozu. Ruszyli.

- Czy rozmówił się pan z kapitanem? - zapytał były pirat.
- Kiedy ruszamy?

- Nie potrzebowalem wcale pytać. Na pomoście wisi tablica, że pojutrze o dziewiątej rano. Zdążymy więc, jeżeli przyjedziemy nocą.

Poza tą krótką rozmową nie zamienili ani słowa aż do Rodrigandy. Landola, bojąc się rozpoznania, nie chciał by widział go ktokolwiek z domowników. Cortejo zaprowadził go do pokoju gościnnego i sam zaniósł mu posiłek. Potem wstąpił do Clarisy, która od dawna czekała na niego z ogromną niecierpliwością.

- Mój Boże! - zawołała. - Zaniedbujesz mnie. Przyjechałeś przed pół godziną i dopiero teraz się zjawiasz!

- Miałem coś do załatwienia. Przywiozłem Landolę.
- Tego samego, za którym rozesłano listy gończe? Gasparino, jesteś lekkomyślny!

- Nie musimy się niczego obawiać. Jestem pewien, że tutaj nie będą go szukać.
 - Jak długo pozostanie?
 - Do jutrzejszego wieczora. Potem odpłynie.
 - Czy się przyznał?
 - Tak. Do wszystkiego.
 - A to zdrajca! Dlaczego tak postąpił?
 - Dla własnej korzyści. Chciał mieć broń przeciw mnie. Zresztą Pablo zapłacił mu dobrze za usunięcie don Fernanda.
 - A więc to Pablo nie był wobec ciebie lojalny?
 - Tak. Już ja się z nim porachuję! Możesz być pewna, że mu to na dobre nie wyjdzie.
 - Jak chcesz to zrobić, nie będąc w Meksyku?
 - I na to znajdzie się rada, moja droga. -
- Przeraziła się.
- Co planujesz, powiedz! Może chcesz jechać do Meksyku?
 - Zgadłaś. Ale uspokój się. Sytuacja tego wymaga.
- Kiedy zamierzasz ruszyć w drogę?
 - Jutro w nocy.
 - Chyba nie pojedziesz sam?
 - Biorę ze sobą Landolę.
 - Tego zdrajcę?! Nie boisz się?
 - Phi! Raczej jego zapytaj, czy się nie boi!
 - Co to znaczy? Notariusz uśmiechnął się.
 - Czy kiedykolwiek słyszałaś, bym w poważnej sprawie żartował?
 - Hm. Widzę po twojej minie, żeś już postanowił...
 - Oczywiście. Znasz mnie, więc powiedz: co czytasz w mojej twarzy?
 - Nic dobrego ani miłego dla niego.
 - Może...

- O czym jeszcze mówiliście?

Cortejo powtórzył dokładnie całą rozmowę z kapitanem.

- A więc chcesz się również przebrać i zmienić wygląd? Nie rozumiem, po co.

- Przecież to jasne. Nikt nie może wiedzieć, że jadę do Meksyku. Przypomnij sobie, że w Reinswalden są bliscy naszych wrogów. Czy nie śledzono nas już nieraz?

- To prawda. Może śledzą i teraz?

- Jestem przekonany, że tak. Nie wierzą, że nasz syn to prawdziwy Alfonso. Być może już ich poinformowano, że zaginieni się odnaleźli. A o czym jeszcze? Ponadto nie wiem, jak stoją sprawy Meksyku. Nie mogę występować jako Cortejo.

- Przekonałeś mnie. Przebranie jest konieczne. Nie rozumiem tylko, po co chcesz jechać za ocean?

- Co, twoim zdaniem, zrobi Fernando po powrocie do stolicy?

- Będzie żądał zwrotu swoich posiadłości.

- To jasne. Ucierpiałby na tym w pierwszym rzędzie Pablo. Ale grób, grób!

- Otworzono by oczywiście.

- I to jeszcze nie najgorsze. Don Fernando był w letargu. Rozumiesz?

- Mówią, że w letargu widzi się i słyszy wszystko, co się dzieje dokoła.

- No właśnie! A Alfonso rozmawiał przy nim z Pablem i Josefą. Hrabia na pewno zna naszą tajemnicę.

- Madonna! To straszne! Musi zginąć!

- Cieszę się, że i ty tak uważasz. Nie tylko żądałby zwrotu swoich posiadłości, lecz domagałby się także surowej kary dla nas. Ale to jeszcze nie wszystko. Sternau jest równie niebezpieczny jak hrabia.

- Zdaje się, że podejrzewał już coś podczas operacji hrabiego Manuela.

- Tak. Obserwowałem go. Chyba wątpił, że Alfonso to prawowity następca don Manuela.

- I on więc musi umrzeć!

- Oczywiście. A z nim reszta tej bandy.

- Wielki Boże, ilu ludzi chcesz wysłać na śmierć, Gasparino? - Cortejo wyciągnął się na kanapie i zaczął wyliczać:

- Don Fernando, Pedro Arbellez, jego córka, Karia, Maria Hermoyes, Sternau, Mariano, bracia Ungerowie, Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce i Juarez.

- Juarez!?! - przeraziła się Clarisa.

- Tak. Oni są teraz u niego. Na pewno o wszystkim mu powiedzieli. Muszę mieć pewność, kto jeszcze poznał naszą tajemnicę. Nie sądzisz chyba, że mogę w tej sprawie zdać się na Landolę lub na Pabla?

- Nie. Obaj nas oszukali.

- Zresztą Pablo jest ścigany. Byłoby mu trudno nam pomóc.

- Musisz zatem jechać.

- Wierź mi, droga Clariso, opuszczam cię bardzo niechętnie.

- I mnie będzie ciężko bez ciebie. Postaram się dzielnie znieść rozłąkę ze względu na naszego syna. Jeżeli się uda, spotkanie nasze będzie tym radośniejsze. Proszę cię jednak, miej się przed Landolą na baczności.

- Nie bój się o mnie.

- Kiedy mu wypłacisz pieniądze?

Na twarzy Corteja pojawił się ironiczny uśmiezek.

- Nie dostanie ich nigdy. - Clarisa popatrzyła nań z wahaniem.

- Chcesz go oszukać?

- Oszukać? Hm. Czy można oszukać nieboszczyka?

- Nieboszczyka? A więc i on ma zginąć?

- Oczywiście. Kiedy już zrobi swoje. Kto chce mnie oszukać lub przechytrzyć, tego nie minie kara, choćby nawet był moim bratem.

- Czy to ma znaczyć... - rzekła wolno, przyglądając się badawczo mężowi.

- Co?

- Brat twój również cię oszukał.

- O, jeszcze jak! Bardziej niż inni. To on wszystkiemu winien! - uderzył pięścią w stół. - To on namówił Landolę, by uratował życie don Fernandowi. A gdyby nie to, kapitan nie odważyłby się później darować życia i pozostałym.

- Masz rację, ale przecież...

Cortejo uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Chyba dobrze odczytuję twoje myśli. Chciałabyś, abym brata również ukarał?

- Sam zdecydujesz. Ale jakim prawem Pablo zagarnia własność naszego syna?

- Jakim prawem ją trwoni?

- Jakim prawem wspomaga naszymi pieniędzmi rewolucję?

- To koniec jego śmiesznej roli! Musi mi jeszcze pomóc w pokonaniu wrogów. Gdy się to stanie, podzieli los Enrique'a Landoli.

Przeszedł ją zimny dreszcz.

- A jego córka Josefa?

- Zginie razem z nim.

Rzuciła się mężowi na szyję.

- Dziękuję ci, dziękuję! A więc nareszcie Alfonso będzie prawdziwym i jedynym hrabią Rodrigandą! Będzie rządził sam we wszystkich posiadłościach. I nas czeka szczęśliwa przyszłość przy jego boku!

W PRZEBRANIU

W porcie Rio de Janeiro, stołecznym mieście Brazylii, stał na kotwicy niewielki prywatny parowiec.

Lekka smuga dymu, wydobywająca się z komina, wskazywała, że napałono już pod kotłami i statek przygotowuje się do wypłynięcia w morze.

Zbliżał się wieczór. Słońce zaszło i powoli zapadała ciemność.

Od strony miasta ukazała się na wodzie łódź, płynąca z szybkością strzały. Przy wiosłach siedziało czterech tęgich mężczyzn. Człowiek na środkowej ławce był bez wątpienia marynarzem. Okrągła, wesoła twarz zdradzała jego nordyckie pochodzenie. Niebieskimi, jasnymi oczami z przyjemnością patrzył na statek. Gdy łódź zbliżyła się do parowca, błyskawicznie skoczył na drabinkę i zaczął wspinać się na pokład. Gdy się tam znalazł, zbliżył się do niego marynarz i zameldował:

- Kapitanie, dwaj panowie chcą z panem mówić. Dowiedzieli się, że płyniemy do Veracruz...

- I chcieliby, abyśmy ich wzięli ze sobą? Hm, hm, zobaczymy! Prowadź mnie do nich! Nazywam się Wagner - przedstawił się nieznanym. - Jestem kapitanem tego statku.

Odkłonili się grzecznie.

- Adwokat Antonio Yeridante z Barcelony. A to mój sekretarz. Słyszeliśmy, że płyniecie do Veracruz. Czy nie moglibyśmy zabrać się z wami?

- Chyba seniores nie będzie to możliwe... - Adwokat zmarszczył czoło.

- Dlaczegoż to? Zapłacimy dobrze.

- Nie w tym rzecz. Mój parowiec nie przewozi ani pasażerów, ani towarów. Służy do prywatnych celów.

- A więc odrzuca pan moją prośbę?

- Niestety.

- Przykro mi bardzo, zwłaszcza że licząc na pańską życzliwość, zabraliśmy ze sobą rzeczy.

- Do licha! Może w dodatku odesłaliście panowie łódź, która was tu przywiozła?

- Nie. Czeka przy nabrzeżu.

- Mam nadzieję, że wkrótce panowie znajdą jakiś statek.

- Oby miał pan rację. Poniosę wielkie straty, jeżeli moja podróż się przedłuży.

Kapitan jeszcze raz spojrział na obu mężczyzn. Wyglądali na ucziwych ludzi.

- Wielkie straty, powiada pan? Czy reprezentuje pan jakiś bank?

- Nie, osobę prywatną.

-

- Wolno zapytać, kto to taki?

- Hrabia de Rodriganda.

Na dźwięk tego nazwiska twarz kapitana rozpromieniła się.

- Czy mnie słuch nie myli? Rodriganda? Ten sam, którego zamek rodowy leży niedaleko Manresy w Hiszpanii?

- Tak, ten sam.

- O ile mi wiadomo, ma wielkie posiadłości w Meksyku. Mniemam, że dysponują panowie dowodami tożsamości.

- Oczywiście. Chce je pan przejrzeć?

- Nie teraz, później. Statek wkrótce odpływa, a zostało jeszcze sporo spraw do załatwienia. Mogą panowie odprawić łódź. Peters!

Podbiegł jeden z marynarzy.

- Zaprowadź panów do przedniej kajuty. Będziesz ich obsługiwał. Zwalniam cię z innych zajęć.

- Tak jest, kapitanie! Proszę za mną! - zwrócił się do nieznanomych łamaną hiszpańszczyzną.

W małej, schludnej kabinie, do której ich zaprowadził, stały obok siebie dwa łóżka.

- Oto kajuta. Niech się panowie rozgoszczą. Przyniosę wody i wszystko, co potrzebne.

Gdy marynarz wyszedł, Cortejo rzekł do Landoli:

- A więc nazwisko de Rodriganda jest mu znane...

- Tak. I to dobrze. Gdybyśmy go nie wymienili, nie byłby nas zabrał.

- Mimo to żałuję, że nie trzymałem języka za zębami.

- Zobaczymy, co będzie dalej. W każdym razie musimy być bardzo ostrożni.

Po chwili wszedł Peters z wodą i miednicą.

- Jak długo byliście w Rio? - zapytał Cortejo.

- Trzy dni.

- Skąd płyniecie?

- Z Cape Horn.

- Przedtem może byliście w Australii?

- Zgadza się, ale ostatnio w Meksyku.

- W którymś z portów zachodnich?

- W Guaymas.

- Ładowaliście towary?

- Nie. Wysadzaliśmy pasażerów.

- Przecież kapitan powiedział, że to nie pasażerski statek.

- Bo to prawda. Należy do hrabiego Fernanda Rodrigandy. Obaj mężczyźni spojrzeli po sobie porozumiewawczo, ale marynarz nie zauważył tego.

- De Rodriganda? - powtórzył Cortejo, starając się odzyskać równowagę. - Znasz tego pana?

- Nie. Nigdy go nie widziałem.

- Sądząc z twych słów, wysadziliście go w Guaymas.

- Tak, ale nie było mnie przy tym. Wtedy jeszcze pływałem na innym statku. Z powodu złego traktowania przez kapitana zmustrowałem w Yalparaiso. Do portu zawinął statek kapitana Wagnera. Musieli wysadzić na ląd ciężko chorego marynarza. Ja wtedy zająłem jego miejsce.

- A więc dopiero w Yalparaiso wsiadłeś na pokład i nie znasz poprzednich losów statku?

- Koledzy opowiadali coś niecoś. Należał do pewnego Anglika. W Indiach Wschodnich kupił go hrabia Rodriganda.

- Jakże się hrabia dostał do Indii?

-

- Z kapitanem Wagnerem na statku „Syrena” płynącym z Kilonii.

- Kilonia to zapewne port niemiecki? Hrabia przybył więc stamtąd?

- Wcale nie stamtąd. Wzięto go na pokład u brzegów wschodniej Afryki. Przebywał w Hararze. Niedaleko brzegów spotkał „Syrenę”. Kapitan zawiózł go do Indii, a potem do Australii, skąd zabrał pozostałych.

- Pozostałych? To znaczy kogo?

- Hm... - Marynarz zawahał się.

- Dlaczego nie odpowiadasz? - dopytywał się Cortejo.

- Bo nic więcej nie wiem.

- No, no, a inne rzeczy opowiedziałeś tak prędko!

- Jedno się zapomina, senior, a drugie pamięta. Zresztą dużo zależy również od pytającego. - Odwrócił się i wyszedł.

Cortejo spojrzał na Landolę.

- Daję słowo, że wie o wiele więcej! Ale dlaczego raptem przestał mówić?!

Landola wzruszył ramionami.

- To pańska wina. Co za nieostrożność! Jak pan mógł tak niecierpliwie pytać o Rodrigandę! Jeżeli nie umie się senior opanować, pozostaw mnie rozmowy na ten temat.

- To niemożliwe. Jest pan przecież tylko moim sekretarzem. Ale obiecuję, że będę się miał na baczności.

- Oby tak było! Słyszał pan, jak sprawy wyglądają. Ten kapitan oswoił hrabiego i zawiózł do Indii. Jednego tylko nie rozumiem.

- Mianowicie?

- Hrabia kupił statek. To przecież koszt.

- Racja! Skąd wziął pieniądze?

- W niewoli ich nie zarobił. To pewne!

- Na tym statku ruszyli do Australii, aby zabrać pozostałych...

- Sternaua i towarzyszy - wpadł mu w słowo Landola. - Czy to jednak możliwe, by hrabia dowiedział się w odciętych od świata Hararze, gdzie przebywa Sternau? Wysadziłem ich na wyspie, której nikt nie zna...

- Dowiemy się i tego.

- Proszę jeszcze raz: bądź pan ostrożny! Kapitan wie, że jest senior zarządcą dóbr Rodrigandów. Trzeba zachować bezwzględność, aby nie złapać się we własne sidła.

- Przecież mogę się cieszyć zaufaniem hrabiego Alfonsa, nie będąc wrogiem tamtych.

- Przy okazji dobrze byłoby podkreślić, że zna pan hrabiego Manuela.

- Doskonała myśl! Mam nadzieję, że uda nam się tu dowiedzieć, jakie plany ma Sternau.

Pochłonięci rozmową, nawet nie zauważyli, że statek podniósł kotwicę i wypłynął w morze. Kapitan stał jakiś czas na mostku. Gdy opuścili port, przekazał ster w ręce sternika.

Peters podszedł do niego i zasalutował:

- Kapitanie!

- Czego chcesz, mój chłopcze? - zapytał Wagner, zawsze serdecznie odnoszący się do podwładnych.

- Pasażerowie...

- No, cóż ci pasażerowie?

- Są bardzo wścibscy.

- No, no. A o co im chodzi?

- Wypytyują się szczegółowo o statek.

- To jeszcze nic złego.

- I o hrabiego Rodrigandę.

- I w tym nie widzę nic szczególnego.

- Uderzyło mnie, że gdy jeden pytał, drugi ledwo się wstrzymywał, aby czegoś nie powiedzieć.

- To mnie też nie dziwi. Przecież obaj znają hrabiego.

- Ach, tak!

- Masz jeszcze jakiś interes? Nie? Więc przyślij ich do mojej kajuty i powiedz kucharzowi, że będą jedli razem ze mną.

Odchodząc, Peters mruknął coś do siebie:

- Znają hrabiego? Coś mi tu śmierdzi. Statek piracki też udaje, że jest handlowym. W każdym razie nie zaszkodzi mieć ich na oku.

Peters należał do prostolinijnych ludzi, którzy doskonale wyczuwają kłamstwo. Wszedłszy do kajuty gości, rzekł grzecznie, ale i zabrzmiało to niemal jak rozkaz:

- Seniores, do kapitana!

- Gdzie jest? - zapytał Landola.

- W swojej kajucie.

- Dobrze! Idziemy.

- Trzeba zabrać dokumenty.

Peters wyszedł i stanął w pobliżu kabiny. Podeszedł do niego jeden z marynarzy.

- Co tak stoisz i patrzysz jak kot w mysiań norę?

- Bo i pilnuję myszy.

- Naprawdę?

- Aha! Może raczej szczurów lądowych?

- Zgadłeś. Uważaj!

Latarnie okrętowe oświetlały mężczyzn. Landola szedł pierwszy, Cortejo za nim.

- Widzisz? - zapytał Peters towarzysza.

- Co?

- Ten pierwszy jest marynarzem.

- Skąd wiesz?

- Poznaję po chodzie. Powiedziałem im, żeby poszli do kapitana. Gdyby byli szczurami lądowymi, zapytaliby, gdzie jest kajuta.

- Może wiele podróżowali.

- To nie ma nic do rzeczy. Na naszym pokładzie są pierwszy raz. Tylko doświadczony wilk morski potrafi wśród ciemności odnaleźć na obcym statku kajutę kapitana.

- Dlaczego zwracasz na to uwagę?

- Nie wiem. Może dlatego, że mi się nie spodobali.

Landola z pewnością maskowałby się lepiej, gdyby przypuszczał, że Peters jest tak przenikliwy. Gdy wszedł z Cortejem do kajuty, kapitan siedział nad szklanką wina.

- Jeszcze raz witam was na pokładzie, seniores! - powiedział serdecznym tonem. - Załatwmy naprzód formalności. Przypuszczam, że papiery macie panowie w porządku.

- Oczywiście, senior capitan - rzekł Cortejo, podając paszporty. Wagner przejrzał je i oddał z powrotem.

- Właściwie obowiązany jestem trzymać takie dokumenty pod kluczem. Ale nie chcę być formalistą. Siadajcie, panowie!

Rozmowa z początku nie bardzo się kleiła, dopiero pod wpływem sutoch potraw i wina języki się rozwiązały.

Cortejo i Landola nie mogli się doczekać chwili, w której kapitan zacznie mówić o Rodrigandzie. Nareszcie!

- Senior Yeridante, powiedział pan, że jest pełnomocnikiem hrabiego Rodrigandy - rozpoczął Wagner. - Więc zna pan rodzinę Rodrigandów?

- Doskonale.

- Chciałbym się o tej rodzinie dowiedzieć pewnych szczegółów. Na przykład jak jest liczna?

- Dziś można, niestety mówić tylko o dwóch jej członkach: Hrabim Alfonsie, który mieszka w Madrycie, i o condessie Rosecie, która przebywa w Niemczech. Jest żoną lekarza Sternaua.

- A więc to mezalians?

- Zależy, co rozumiemy przez to słowo - Cortejo wzruszył ramionami. - Wiedza i sława tego lekarza są tyle warte, co korona hrabiowska.

- A więc zna pan Sternaua? - uradował się Wagner. - Słyszałem o nim wiele. Jak wygląda?

- Wysoki, barczysty, o atletycznej budowie, prawdziwy olbrzym.

- Gdzie się pan z nim spotkał?

- W Rodrigandzie. Wyleczył hrabiego Manuela z ciężkiej i bolesnej choroby. Właśnie wtedy pokochali się z hrabianką.

- A więc zna pan również hrabiego Manuela?

- Od dawna.

- O ile wiem, pełnomocnikiem jego był wtedy niejaki Cortejo. - Cortejo wydał pogardliwie usta, chcąc dać tym do zrozumienia swojemu rozmówcy, że nazwisko to jest mu niemiłe.

- Tak - wyjaśnił. - Cortejo załatwiał drobne, bieżące sprawy. W ważniejszych ja miałem zaszczyt gościć w Barcelonie pana hrabiego.

- A co pan sądzi o Corteju? Bo przecież i z nim musiał się pan spotkać.

- Nie powiem, żebym go nienawidził, ale pogardzam nim. Uważałem i uważam, że zdolny jest do każdego szelmostwa.

- I ja o tym słyszałem - kapitan pokiwał głową. - Czy nie ma on brata w Meksyku?

- Owszem. Ten z Rodrigandy to Gasparino, a tamten Pablo.

- Jaki człowiek z tego drugiego?

- Awanturnik, szubrawiec! Z jego to przyczyny jadę do Meksyku. Muszę przyjrzeć się jego brudnym sprawkom.

- Życzę szczęścia. I ja uważam Pabla Corteja za łotra. Dowiedziałem się o nim ciekawych rzeczy.

Cortejo udał zdziwienie:

- Jakich? Rozumie pan chyba, jak cenne mogą być dla mnie pańskie informacje.

- Czy nie zwróciła uwagi panów nagła śmierć hrabiego Fernanda?

- Owszem - odparł Cortejo. - Słyszałem, że dostał ataku apopleksji. Nie bardzo w to wierzę.

- Dlaczego?

- Nie zawsze na wszystko można odpowiedzieć, senior.

- Jest pan bardzo ostrożny. Ale nie idzie to w parze z tym, co mówił pan przed chwilą. A ponadto jest pan przecież pełnomocnikiem hrabiego Alfonsa?

Cortejo uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Sądzi pan, że hrabia Alfonso ma coś wspólnego ze śmiercią hrabiego? Może i tak. Ale odpowiem na pańskie pytanie. Postanowiłem zbadać tajemnicę zamku Rodrigandów. I

dlatego zgodziłem się zostać pełnomocnikiem hrabiego Alfonsa, jak byłem kiedyś pełnomocnikiem hrabiego Manuela.

Kapitan przerwał z ożywieniem:

- W takim razie muszę panu wyjawić: jest pan na właściwym tropie!

- Tak pan uważa? A więc mógłby mi pan pomóc w rozwikłaniu tej zagadki? W każdym razie podziwiam pańską znajomość stosunków panujących w rodzinie Rodrigandów. Biada winnym, gdy się nareszcie wszystko wyjaśni! Nie umkną przed sądem!

Tak doskonale odegrał tę scenę, że Wagner zerwał się z krzesła i wyciągnął do niego rękę.

- Będę z panem zupełnie szczery! Czy wie pan, do kogo należy ten statek? Do hrabiego Fernanda Rodrigandy.

- To niemożliwe! Hrabia przecież nie żyje!

- Żyje!

- Hrabia Fernando żyje? Na miłość boską, gdzie jest?

- Cierpliwości! Powiem jeszcze więcej. Czy wiadomo panu, kto jeszcze żyje? Sternau i domniemany dziedzic hrabiego, Mariano. Rozmawiałem z nim. Sporo czasu spędziliśmy razem na tym statku.

- Niech pan opowiada, senior Wagner! Albo raczej niech mi pan pozwoli zadawać pytania!

- Proszę!

- Znam historię Sternaua aż do chwili jego wyjazdu z Hiszpanii. Po co pojechał do Meksyku?

- Aby odnaleźć niejakiego Enrique'a Landolę. Nazwisko to zapewne nie jest panu obce?

- Nie, nie znam Landoli. Co to za człowiek?

- Kapitan. Sławny Grandeprise, dowódca statku pirackiego „Lion”. Zapewne słyszeliście, panowie, o nim?

- Tak, przypominam sobie.

- Ten przeklęty Landola jest zausznikiem i wykonawcą zleceń obu braci Cortejów. Starłbym go w proch, gdyby mi się kiedy udało dostać go w swoje ręce.

- Na nic lepszego nie zasłużył - zauważył Landola. Kapitan ciągnął dalej:

- Znacie może niejaką Clarisę, która przebywa obecnie w Rodrigandzie?

- Owszem - odparł Cortejo.

- Gasparino Cortejo poślubił ją w tajemnicy. Powiła syna. Rodzice pragnęli, aby został on hrabią Rodrigandą i dlatego zamienili go z dzieckiem hrabiego Manuela.

- To wprost nie do wiary!

- A jednak prawda. Mały Rodriganda miał jechać w odwiedziny do Meksyku, do swego stryja. Wykradziono go i oddano w ręce pewnego rozbójnika, który małego miał zabić. On jednak nie tylko tego nie zrobił, ale dał dziecku dobre wychowanie. Nazwał go Marianem. Jako dorosły mężczyzna Mariano przybył do Rodrigandy pod przybranym nazwiskiem porucznika huzarów Alfreda de Lautreville.

Cortejo musiał panować nad sobą, aby nie zakląć siarczyście. Po chwili krzyknął:

- Santa Madonna! A więc ten Mariano jest prawdziwym Rodrigandą, a Alfonso fałszywym?

- Tak. Tego można dowieść.

- Mój Boże! Gdybym o tym wiedział przedtem! Kapitan mówił dalej:

- Mariano miał zginąć, uratowano go jednak. Przybył ze Sternauem do Meksyku. Jednak już wcześniej dokonano zbrodni. Podano Fernandowi truciznę. W istocie zapadł tylko w letarg. Słyszał i widział wszystko. Pochowano go, potem wyciągnięto z grobu i ukrytego w koszu zawleczono na brzeg, skąd wziął go Landola na pokład statku i sprzedał w Hararze jako niewolnika.

- Szatański pomysł! Jak wiodło mu się w Hararze?

- Bardzo źle. Spotkał jednak znajomego...

- Znajomego w Hararze, w tym kraju, którego nie dotknęła stopa Europejczyka?!

- Tak. Niejakiego Mindrella z Manresy. Bywał często w Rodrigandzie.

Obaj mężczyźni zbledli mimo nałożonej na twarze szminki. Kapitan jednak i na to nie zwrócił uwagi. Po chwili Cortejo zapytał:

- A jak ten człowiek dostał się do Hararu?

- Tak samo jak hrabia. Cortejo również oddał Mindrella w ręce Landoli, a ten go sprzedał do wschodniej Afryki.

- Dziwne są drogi Opatrzności! - filozoficznie zauważył Cortejo rozkładając ręce.

- To jeszcze nie wszystko. Pewnego dnia handlarz przywiózł piękną białą niewolnicę. Spodobała się sułtanowi Hararu i postanowił ją kupić. Ponieważ nie znała języka, sprowadzono hrabiego, aby tłumaczył.

- Czy ją zrozumiał? - zapytał rozdygotany Cortejo. Tym razem i Landola nie potrafił ukryć podniecenia.

- Tak. W dodatku po kilku pytaniach wymieniła nawet nazwisko hrabiego. To coś w rodzaju cudu! Zgadnijcie, panowie, kim była niewolnica?

- Skąd mamy wiedzieć?

- Ponieważ panowie tak dobrze znają ród Rodrigandów, słyszeli z pewnością o hacjendzie del Erina. Jej właściciel Pedro Arbellez, ma córkę imieniem Emma. Ona była tą niewolnicą.

Cortejo zerwał się na równe nogi i błyszczącymi z emocji oczyma patrzył jak urzeczonego na kapitana. W końcu wykrztusił:

- Emma Arbellez? To niemożliwe! Przecież ta dziewczyna... Omal się nie zdradził. Oprzytomniał pod wpływem tęgiego zturczańca Landoli. Na szczęście Wagner znowu nic nie zauważył i ciągnął dalej:

- Nie wierzycie, panowie? Proszę słuchać!

Opowiedział dalsze szczegóły. Gdy doszedł do pomyślnego odkrycia samotnej wyspy, Landola zawołał:

- Do licha! Ależ z pana wilk morski! Wielka to była sztuka określić położenie małej wysepki tylko na podstawie opowiadań dziewczyny.

- Nie moja w tym zasługa. To Sternau, nie posługując się żadnym instrumentem, określił długość i szerokość geograficzną wyspy, a Emma zapamiętała jego wyliczenia.

- Ach, tak! - rzekł z podziwem Landola. - Zdolny człowiek z tego Sternaua.

- Niewielu jest mu równych. Na czym to ja skończyłem...? Aha. Kiedy przybyliśmy do Indii Wschodnich, za część skarbu, który hrabia zabrał sułtanowi, kupiliśmy statek. Za resztę, zostawiwszy sobie tylko klejnoty, hrabia nabył akcje angielskiej pożyczki państwowej. Wypłynęliśmy w morze i rozpoczęliśmy poszukiwania. Kiedy znaleźliśmy wyspę, zabraliśmy tych nieszczęsnych i udaliśmy się do Meksyku.

- Dlaczego właśnie tam?

- Większość tego chciała, a zresztą tam było najbliżej. Wylądowaliśmy w Guaymas. Otrzymałem rozkaz udania się przez Gapę Horn de Veracruz. Stamtąd mam zawieźć do ojczyzny Sternaua i jego towarzyszy.

- Kiedy przybędą do Veracruz?

- Jeszcze nie wiem. Poślę gońca do Meksyku. Przypuszczam, że znajdzie ich w zamku Rodrigandów albo w hacjendzie del Erina. Tak się umówiłem ze Sternauem. No, seniores, na dzisiaj chyba wystarczy - spojrzał na zegarek i wstał.

- Dziękujemy z całego serca! - zawołał Cortejo. - Pańskie opowiadanie mocno mną wstrząsnęło.

- Idźcie teraz, seniores, do kajuty i prześpijcie się.

- Dobranoc, senior!

Cortejo i Landola wrócili do swojej kajuty rozgorączkowanymi. Do późnej nocy rozprawiali o tym, co usłyszeli od Wagnera. Tymczasem Peters stał niedaleko kajuty oparty o komin i patrzył w gwiazdy. Usłyszawszy kroki, odwrócił głowę. To kapitan Wagner odbywał swój codzienny obchód statku. Marynarz podszedł i zasalutował:

- Kapitanie!

- Czego chcesz, mój synu?

- Czy wolno zapytać, kim są ci dwaj pasażerowie?

- Dlaczego nie zwracasz się z tym do sternika?

- Panie kapitanie, to jakaś nieczysta sprawa!

- Co ci do głowy przychodzi? Jeden jest adwokatem, drugi jego sekretarzem.

- Nie wierzę! W każdym razie ten drugi to na pewno marynarz!

- Skąd ta pewność?

- Wśród ciemności sam znalazł kajutę pana kapitana, nikogo o nią nie pytając.

- Ach, o to ci idzie - roześmiał się kapitan. - Widzę z tego, że nie zapalałeś sympatią do naszych gości!

-

- To za mało powiedziane, panie kapitanie!

- Przyjmij więc do wiadomości, że obaj są godni szacunku. Podejrzenia twoje są bezpodstawne. Mam nadzieję, że nie będziesz mnie już nimi dręczył!

- Rozkaz, panie kapitanie!

Peters niechętnie odmaszerował i wrócił do swojego hamaka. Rozkaz wypełnił, ale pasażerów nie spuszczał z oka.

Kiedy statek zawinął do Veracruz, Cortejo i Landola zabrawszy swój bagaż z kabiny, czekali niecierpliwie na pokładzie, gotowi do wyjścia na brzeg.

- A więc panowie prosto do Meksyku? - zapytał kapitan.

- Tak - odparł Cortejo. - Jeśli tam nie spotkamy hrabiego Rodrigandy, ruszamy natychmiast do hacjendy del Erina.

- Szkoda, że mój posłaniec nie może się do was przyłączyć. Pojedzie dopiero jutro.

Pożegnawszy się, adwokat z sekretarzem wsiedli do łodzi. Po odpłynięciu do portu pozostawili bagaże w komorze celnej i udali się piechotą do agenta Gonsalva Yerdilla, którego znał Landola.

- Czym mogę służyć, seniores? - zapytał oschle, nie siląc się na grzeczność.

- Chcielibyśmy otrzymać pewną informację - odparł Landola.

- O kogo chodzi?

- O niejakiego Enrique'a Landolę, kapitana piratów. - Agent zbladł i wyjąkał:

- Nie wiem, o kim pan mówi, senior.

- Ależ wiesz doskonale, stary łotrze! Agent z przerażenia oblał się potem.

- Zapewniam, senior, że nie wiem!

- Czy naprawdę jestem tak dobrze ucharakteryzowany, że mnie nie poznajesz?

Landola wcześniej zmienił modulację swego głosu, teraz nadał mu zwykłe brzmienie. Agent odetchnął z ulgą i wyciągnął przyjaźnie rękę. Landola uścisnął ją i rzekł:

- Muszę być nie byle jak zmieniony, jeżeli człowiek, który podróżował ze mną przez dwanaście lat, nie rozpoznał swego starego kapitana.

- Senior capitan, rodzony brat pana by nie poznał! – zapewniał agent.

- W takim razie przypatrz się mojemu towarzyszowi i powiedz, kto to taki.

Yerdillo popatrzył badawczo na Corteja i potrząsnął przecząco głową.

- Nie widziałem go nigdy.

- Przeciwnie, mój przyjacielu - roześmiał się Landola. - Widywałeś często. W Barcelonie.

- Nie przypominam sobie.

- To przecież sam właściciel.

- Senior Cortejo? Nie do wiary! Aż tak się zmienić?!

- Okoliczności tego wymagały. Czy masz jakieś wiadomości o seniorze Pablu lub seniorcie Josefie?

- Nie.

- Do diabła!

- Ostatni list seniority otrzymałem dość dawno. Opatrzyłem go numerem osiemdziesiątym siódmym i zgodnie z poleceniem wysłałem do seniora Corteja. Czy list doszedł, panie Cortejo?

- Tak, dwa dni przed naszym wyjazdem.

- Od tego czasu nie dotarły do mnie żadne wiadomości. W stolicy pełno Francuzów.

- Do kroćset! W takim razie musimy się mieć na baczności.

- I ja tak radzę. Panuje tu ostry reżim. Nazwiska Cortejo nie należy głośno wymawiać.

- Ani mi to w głowie! Nazywam się teraz Antonio Yeridante, jestem pełnomocnikiem hrabiego Alfonsa Rodrigandy. A to mój sekretarz. Zapamiętaj to sobie na wszelki wypadek.

Agent zanotował nazwisko i rzekł:

- Muszę was jeszcze o czymś powiadomić, seniores. Od kilku tygodni przebywa tu człowiek, który codziennie dopytuje się o list od seniora Corteja z Hiszpanii. Ma pełnomocnictwo podpisane przez Pabla Corteja, które upoważnia go do odbioru przesyłki. Zjawia się punktualnie o... - spojrzął na zegarek - za minutę powinien tu być.

- Ciekawe, kto to - zainteresował się Cortejo.

W tym momencie rozległo się energiczne pukanie. W drzwiach stanęła długa, koścista postać. Był to traper Grandepriise. Przywitał się uprzejmie i zapytał:

- Nie było listu?

Landola poznał natychmiast swego przyrodniego brata. Ze złości zacisnął pięści. Opanował się jednak i powiedział nieco zmienionym głosem:

- Na próżno czeka pan na list z Hiszpanii, senior. Gasparino Cortejo wysłał nas, byśmy osobiście pertraktowali z jego bratem. Byli panowie razem, więc wie senior zapewne, gdzie on się znajduje?

- U seniora Hilaria w klasztorze delia Barbara w Santa Jaga. Tam mam dostarczyć korespondencję.

- Chciałbym wiedzieć - wtrącił adwokat - czy należy pan do zwolenników Corteja?

- Nie. Nie interesuję się polityką.

- Jak się więc panowie poznali?

- Znalazłem go rannego nad Rio Grandę del Norte.

- Co on tam robił?

- Pewien Anglik przywiózł Juarezowi złoto i broń. Senior Cortejo zamierzał je zdobyć. Doszło do walki z Indianami. Jego ludzie zostawili go na tratwie zranionego w oczy. Na szczęście tratwa przybiła do brzegu. Natknąłem się na niego przypadkowo. Był w ciężkim stanie.

- Mój Boże! - zawołał Cortejo. - Więc oślepl?

- Niezupełnie. Nie widzi na jedno oko, ale drugie uratowałem za pomocą cudownego zioła. Potem... - tu opowiedział, jak pojechali do hacjendy del Erina, znajdującej się w rękach Miksteków, oswoiował Josefę i uciekli razem z nią. - Cortejo znalazł się w trudnej sytuacji - mówił dalej. - Wokół miał samych wrogów: Francuzów, Indian. A i Mikstekowie nie darzyli go sympatią. Jeden z jego zaufanych ludzi, Manfredo, poradził aby schronił się w klasztorze delia Barbara, gdzie praktykuje jako lekarz stryj Manfreda.

- Dlaczego pan go opuścił?

- Towarzyszyłem Cortejowi tylko dlatego, że obiecał mi spotkanie z pewnym człowiekiem o nazwisku Landola. Szukam go od lat. O miejscu pobytu tego Landoli mieliśmy się dowiedzieć z listu brata Corteja. Właśnie po ten list przybyłem tutaj.

- Więc tak panu zależy na Landoli? Co pan ma do niego?

- O tym tylko on się dowie.

- Na pewno nic dobrego, skoro nie chce pan zdradzić swych zamiarów.

Grandeprise w odpowiedzi wzruszył jedynie ramionami.

- Jeżeli senior pojedzie z nami - odezwał się były kapitan - do klasztoru delia Barbara, spotka tam Landolę. Przybędzie on do klasztoru w tym samym dniu co i my.

- Dobrze, zaprowadzę was.

- Przedtem jednak musimy się zatrzymać w stolicy.

- Na to nie mam czasu.

- W takim razie nie spotka pan Landoli.

Grandeprise obrzucił obu mężczyzn badawczym spojrzeniem. Potem uderzył kolbą o ziemię i rzekł:

- Jeżeli macie zamiar mnie podejść, oświadczam, że łatwo to wam nie przyjdzie i zemszczę się na pewno! Zgoda, jadę z wami do Meksyku. Kiedy ruszamy?

- W najbliższym czasie. W jaki sposób można się tam jak najszybciej dostać?

- Niedawno tu, w Veracruz, wybuchła epidemia żółtej febry.

Francuzi zbudowali linię kolejową i wywożą pociągami żołnierzy. Jedzie się nie dłużej niż dwie godziny. Droga prowadzi przez La Soledad do Lomalto.

- W Lomalto nie ma zarazy?

- Nie.

- Pojedziemy więc najbliższym pociągiem, przede wszystkim jednak musimy załatwić nasze sprawy w urzędzie celnym.

- Czy może w czymś pomóc seniorom?

- Dziękujemy, ale to zbyteczne. Niech pan czeka na nas na dworcu.

- Wierzę, że dotrzymacie panowie słowa i przyjedziecie - odwrócił się i wyszedł.

- Czego on chce od pana? - Cortejo zapytał Landołę. - Dlaczego pan się nie ujawnił?

- Nie mam wcale ochoty dostać kulki w łeb.

- Do licha! Więc ten człowiek jest do tego stopnia niebezpieczny? Zna go pan?

- Doskonale! To przecież mój brat przyrodni. Cortejo aż otworzył usta ze zdziwienia.

- Brat? I ^dybie na pańskie życie?

- Tak. Od dwudziestu lat mnie szuka, aby się zemścić.

- Za co?

- Nie musi pan wszystkiego wiedzieć.

- Po czyjej stronie jest prawo?

- Po jego. Pozbawiłem go ojcowskiej schedy.

- A więc musi się go pan pozbyć, a najlepiej... zabić.

- Tak też zrobię. Ale przedtem jeszcze go wykorzystam. Będzie naszym przewodnikiem.

- Idźmy już więc do urzędu celnego. Trzeba jak najprędzej opuścić to gniazdo zarazy.

Szybko załatwili swoje sprawy i poszli na dworzec. Grandepriese czekał już tam na nich. Wsiedli do pociągu i pojechali w górskie okolice Soledad-Lomalto.

Wkrótce po przybyciu statku kapitana Wagnera zawinął do przystani drugi parowiec i zarzucił kotwicę w pobliżu.

Po załatwieniu formalności w porcie Wagner postanowił wyjść na ląd. Febra, szalejąca w mieście, nie odbierała mu ochoty do przechadzki. Polecił spuścić na wodę szalupę. Zanim do niej zszedł, przywołał stojącego na rufie Petersa.

- No i cóż, mój chłopcze, pomyliłeś się co do tych dwóch pasażerów...

- Nie, kapitanie.

- Co ty pleciesz? - Wagner zmarszczył brwi.

- Jeden z nich to na pewno marynarz, obaj zaś są oszustami. Mogę tego dowieść.

- W jaki sposób?

- Czy ktoś, kto posługuje się fałszywym nazwiskiem, nie jest oszustem?

- Przeważnie tak. Ale nasi podróżni paszporty mieli w porządku.

- Być może. Zwracali się jednak do siebie innymi nazwiskami. Słyszałem na własne uszy. Sekretarz mówił do adwokata „senior Cortejo”, adwokat zaś do sekretarza „kapitanie” lub „senior Landola”.

Wagner aż podskoczył z wrażenia i krzyknął z wymówką:

- Dlaczego mi o tym nie zameldowałeś?

- Usiłowałem dwukrotnie, ale pan kapitan zabronił mi mówić o tych ludziach.

- Niech to diabli wezmą!

Wagner zaczął przemierzać pokład wielkimi krokami.

- Teraz rozumiem - mamrotał - dlaczego byli tak dobrze poinformowani o sprawach Rodrigandów. Zachowałem się jak idiota, jak sztubak. Muszę to jak najszybciej naprawić. Peters!

Marynarz podbiegł i zasalutował.

- Czy poznasz tych dwóch ananasów?

- Oczywiście.

- Włóż więc prędko galowy mundur. Biorę cię z sobą na ląd. - Peters był zachwycony tym wyróżnieniem. Nawet minuta nie minęła, gdy ubrany odświętnie siedział w szalupie obok kapitana. Wkrótce przybili do brzegu. Niedaleko nabrzeża rozciągało się rozległe cmentarzysko.

- To groby Francuzów - powiedział Wagner - których pokonała tropikalna gorączka. Te lekkożyjne bestie nazywają to miejsce „jardin d'acclimatation”, czyli ogrodem aklimatyzacji.

- Kto tu leży, ten się już zaaklimatyzował - mruknął Peters.

Poszukiwania rozpoczęli od gospody portowej. Potem kilkakrotnie obiegli wszystkie ulice. W urzędzie celnym dowiedzieli się, że niejaki Antonio Yeridante zgłosił się z bagażami. Kapitan był śmiertelnie zmęczony. Ponownie weszli do gospody.

- Odpocznijmy tu chwilę - rzekł podchodząc do czteroosobowego stolika, przy którym stały dwa wolne krzesła.

Jeden z dwóch biesiadników, ubrany w zwykły strój myśliwski, niemal przeraził wilka morskiego. Cóż to za ogromny nochal! - pomyślał. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem!

Zmieszanie kapitana nie uszło uwagi nosala. Ściągnął usta, wypłuł ślinę, brunatną od soku tytoniowego, pociągnął haust wina i rzekł:

- Nie bój się, senior, on wam nic złego nie zrobi. To najpotulniejszy nos na świecie.

Wagner roześmiał się.

- Więc możemy tu spokojnie usiąść?

- Oczywiście, mój nos jeszcze nikomu krzywdy nie zrobił. Towarzysz nosala wyglądał tak godnie, że Wagner skłonił się i zameldował krótko:

- Kapitan marynarki, Wagner.

- Porucznik Unger.

- Kapitan dragonów Sepi Dziób - również przedstawił się nosal. Wagner uważnie zaczął się przyglądać porucznikowi. Unger zapytał więc z uprzejmym uśmiechem:

- Czy nie spotkaliśmy się już kiedyś?

- Wątpię, senior. Jest pan jednak bardzo podobny do jednego z moich znajomych i w dodatku nosi takie samo nazwisko.

Na twarzy Kurta pojawił się wyraz wielkiego napięcia.

- Skąd on pochodzi?

- Z Reinswalden, niedaleko Moguncji.

Rozmowa toczyła się dotąd w języku hiszpańskim, na te słowa jednak Kurt skoczył na równe nogi i wykrzyknął po niemiecku:

- To mój ojciec! Pan zna mojego ojca?! Gdzie go pan spotkał?! Gdzie pan się z nim rozstał?! Gdzie on teraz jest?

- Tego dokładnie nie wiem, w każdym razie w Meksyku.

Przybyłem tu, aby pańskiego ojca i jego towarzyszy zawieźć do ojczyzny.

- Panie kapitanie, proszę, bardzo proszę, niech mi pan opowie o ojcu! Wszystko, co pan wie!

- Oczywiście, poruczniku, ale może trochę później. Teraz mam mało czasu i wstąpiłem tu tylko, by przepłukać gardło szklanką wina. Muszę znaleźć i schwytać dwóch oszustów.

- Co złego uczynili?

- Ci ludzie... Ale, ale... Pan z pewnością zna tych łotrów. To

Landola i Gasparino Cortejo!

- Landola i Gasparino Cortejo?! - Kurt aż pobladł z wrażenia. - Szuka ich pan tu, w Veracruz?

- Tak jest, panie poruczniku. Stoi przed panem największy osioł, jakiego kula ziemską kiedykolwiek nosiła! Wiozłem obu na swym statku z Rio de Janeiro, nie domyślając się, kim są. Ten oto marynarz nabrał co do nich podejrzeń, ale nie dawałem mu wiary. Dopiero, gdy opuścili statek dowiedziałem się kim są. Szukam ich teraz po wszystkich knajpach i ulicach, ale na próżno.

Kurt słuchał uważnie. Po chwili rzekł:

- Jeśli to naprawdę Cortejo i Landola, to przybyli tutaj, by dokonać pewnego niecnego przedsięwzięcia. Nie możemy do tego dopuścić. Ma pan rację. Nie czas teraz na rozmowy! Musimy dostać w swe ręce tych łotrów. Jak byli ubrani?

Kapiatn opisał dokładnie ich wygląd.

- Przeszukał pan całe miasto?

- Tak. Niestety, bez rezultatu.

- Był pan na dworcu?

- O tym nie pomyślałem - stropił się Wagner.

- Sądzę - powiedział z wymówką Kurt - że przede wszystkim tam należało zasięgnąć języka. Komu spieszo, ten nie jedzie konno ani dylizanssem, tylko pociągiem. Chodźmy więc na dworzec.

W GROBOWCU

Na dworcu w Veracruz Cortejo, Landola i Grandepriese dopytywali się o pociąg do Lomalto. Zagadnięty przez nich kolejarz okazał się konduktorem tego właśnie składu. Wzruszył ramionami i sucho poinformował:

- Pociąg odchodzi za dziesięć minut. Panowie chcą nim jechać? Cortejo potwierdził skinieniem głowy.
- Bardzo mi przykro, ale to niemożliwe. Przewozimy tylko wojsko i osoby urzędowe.
- To niedobrze, bardzo niedobrze - zmartwił się Cortejo. - Spiesz się nam ogromnie.
- Nie macie, panowie, jakich dokumentów? Na przykład służbowego polecenia wyjazdu?
- Niestety, nie. Mamy tylko prywatne paszporty.
- Hm... A jakiej narodowości są panowie?
- My dwaj jesteśmy Hiszpanami, ten senior zaś Amerykaninem.
- Nie wolno nam przewozić Hiszpanów, tym bardziej zaś Amerykanów!

Grandepriese wyjął z kieszeni portfel.

- Senior, mam pewien dokument - powiedział.
- Niech pan okaże.

Wyciągnął dwudziestodolarowy banknot i podał konduktorowi.

- Czy można mieć lepszy bilet od tego?
- To prawda - skinął ten z uśmiechem głową. - Bilet jest tak dobry, że mogę tylko życzyć pańskim towarzyszom, aby mieli takie same.

Cortejo pokazał mu dwa stufrankowe banknoty.

- Wystarczy?

Konduktor schował je skwapliwie.

- Dokumenty te są wprawdzie doskonałe, ale mimo to chciałbym zobaczyć pański paszport.

- Proszę bardzo. Nazywam się Antonio Yeridante. Jestem adwokatem z Barcelony.
- A pański towarzysz?
- To mój sekretarz. Oto nasze paszporty.

- Wszystko w porządku. Mogą panowie jechać, ale tylko w moim przedziale. No, już czas wsiadać.

Otworzył przedział służbowy i wpuścił ich do środka. Na kilka minut zostali sami.

- Ale mamy szczęście! - zawołał Landola. - Niewiele brakowało, a nie pojechalibyśmy.

- Phi - wzruszył ramionami Grandepriese. - Ci panowie konduktorzy umieją brać pieniądze!

- Była to z pańskiej strony nierozwaga - skrzywił się Cortejo.

- To niewłaściwe słowo. Czyż wyrzucenie przez okno dwudziestu dolarów można nazywać nierozwagą?

Cortejo zrozumiał a luzję. Wyciągnął stufrankówkę i powiedział:

- Proszę, zapłacił pan przecież za nas.

- Właściwie zapłaciłem za siebie, nie mogę jednak obrażać pana odmową. Dziękuję!

Tymczasem pociąg ruszył.

Na dworcu w Lomałto panowała atmosfera wojenna. Aż roilo się od francuskich żołnierzy. Jedni wysiadali z pociągu, inni tłoczyli się wokół niego. Mieli nim jechać do Veracruz, a stamtąd statkiem do kraju.

Przed dworcem stał dylizans pocztowy, który dowoził podróżnych do stolicy Meksyku. Po kupieniu biletów Cortejo i Landola weszli do środka, Grandepriese zaś, lubiący świeże powietrze i piękne widoki, wyszedł na górną platformę i tam się rozlokował.

Landola i Cortejo mogli teraz swobodnie rozmawiać.

- Jakie to szczęście - zauważył Cortejo - że jest pan przebrany. Kto wie, co by się stało, gdyby ten łotr pana poznał.

- Nie mówmy o tym. Lepiej, żeby do końca nie wiedział, że znalazł tego, kogo szukał. Nie znaczy to jednak, że muszę się go obawiać. Potrafię dać sobie radę z każdym, kto mi stanie na drodze, bez względu na to, kto to jest.

- Co pan zamierza?

- Chce mnie dostać, więc nie trzeba go od tego odwozić. Teraz jest nam potrzebny. Spławi się go, kiedy przestanie być użyteczny.

- Doskonale! Czy wierzy pan, że mówił prawdę o seniorze Hilario?

- Wierzę święcie.

- Sądzi też pan, że u Hilaria natrafimy na ślad Pabla?

- Jestem pewien. Dlatego właśnie musimy udać się tam niezwłocznie po załatwieniu naszej sprawy w stolicy.

- O jakiej sprawie pan myśli?

- O tym przeklętym grobowcu.

- To jeszcze nie wszystko. Trzeba sprawdzić, co dzieje się w posiadłościach Rodrigandów. Nie mają przecież teraz żadnego pana.

- Znajdzie się jakiś.

- Ciągłe pan zapomina, że hrabia Fernando zmarł tylko pozornie oraz że mój brat skazany został na banicję. W rezultacie nikt nie zarządza posiadłościami.

- Na pewno zajął się nimi rząd.

- Sądzi pan, że je skonfiskowano?

- Nie. Przecież formalny właściciel, hrabia Alfonso, nie został wygnany z kraju i nie pozbawiono go praw.

- Przypuszcza więc pan, że rząd zajął się administracją? Bardzo w to wątpię.

- Dlaczego?

- Hm! Jaki rząd ma pan na uwadze?

- Cesarski.

- Cesarz Maksymilian bez pozwolenia i zgody marszałka Basai-ne'a niczego nie przedsięwzięmie!

- Okupanci już sobie z tym poradzą. Pański brat ciągnął z tych dóbr zyski, dlatego Francuzi mieliby być głupszy od niego? Trzeba przeczekać, nic innego nam nie pozostaje.

- Jestem innego zdania. Przecież mogę przedstawić upoważnienie podpisane przez hrabiego Alfonsa, w którym poleca mi, bym uporządkował jego sprawy.

- Ale czy zechcą respektować ten dokument?

- W każdym razie postaram się przedostać do pałacu Rodrigandów, aby zasięgnąć języka.

- Co to panu da? Tylko narazi się pan na niebezpieczeństwo i zdemaskowanie.

- Wykluczone. Mam dobre papiery i jestem ucharakteryzowany. Nikt mnie nie pozna.

- Pańska sprawa! Wybaczy pan, ale ja nie będę brał w tym udziału. Podczas pańskiej wizyty w pałacu posiedzę sobie w jakimś spokojnym miejscu.

Dylizans dojechał do stolicy i zatrzymał się przed gospodą. Podróżni zajęli pokoje. Landola i Grandepriese położyli się spać. Cortejo zaś udał się do pałacu. Po obu stronach

bramy wznosiły się budki sztyldwachów. Stała przed nimi straż honorowa, co wskazywało, że w pałacu mieszka wysoki rangą wojskowy. Cortejo chciał wejść, ale jeden ze strażników zagroził mu drogę.

- Do kogo pan idzie?

- Czy mógłbym wiedzieć, kto tutaj kwateruje?

- Generał Clausemonte.

- Chciałbym porozmawiać z właścicielem tego domu.

- Chodzi panu o administratora? Parter, na prawo. Wszedłszy na korytarz, Cortejo ujrzał na drzwiach tabliczkę z napisem „Administracja”. Zapukał i znalazł się w dużym pokoju, w którym przy biurkach pracowało kilku urzędników. Jeden z nich podszedł do niego i zapytał:

- Czego pan sobie życzy?

- Chcę mówić z panem administratorem.

- Administrator je śniadanie.

- Proszę mnie zameldować!

- Musi pan poczekać. Mój zwierzchnik nie życzy sobie, aby mu przeszkadzano w czasie posiłku.

Cortejo zmarszczył brwi i rzekł ostro:

- Prosiłem o zameldowanie i niech pan to czyni! Pod wpływem tych słów urzędnik wyraźnie zmiękł.

- Czy mogę wiedzieć, kim pan jest? - spytał uprzejmie.

- Przedstawię się administratorowi. Proszę mu tylko przekazać, że pewien senior z Hiszpanii chce z nim porozmawiać o posiadłościach i ich zarządzaniu.

- To zmienia postać rzeczy. Gdyby od razu pan mi to powiedział, zameldowałbym pana natychmiast. Proszę przejść ze mną do sąsiedniego pokoju.

Zaprowadził Corteja do pokoju, który przypominał raczej elegancki buduar niż biuro.

- Hm! - mruknął do siebie Cortejo. - Zdaje się, że ten administrator żyje bardzo po pańsku. Może Landola miał rację.

Po jakimś kwadransie wszedł elegant ubrany podług ostatniej mody francuskiej. Sposób strzyżenia brody i wąsów nie pozostawiał wątpliwości, że to Francuz. Spojrzał chłodno na Corteja i nie kłaniając się, zapytał:

- Z kim mam przyjemność, rnonseur?

- Nazywam się Antonio Yeridante.

- Jest pan Hiszpanem?

- Tak. Adwokatem z Barcelony, agentem i pełnomocnikiem hrabiego Alfonsa Rodrigandy.

- Gdzie dowody?

- Oto one.

Podał Francuzowi papiery. Przejrzawszy je, administrator rzekł obojętnym tonem:

- Przykro mi, ale te papiery nie są wystarczające.

- Co? Wątpi pan w ich prawdziwość?

- Skądże znowu! Przybywa pan do Meksyku prosto z Rodrigandy czy Barcelony?

- Tak.

- Nie zatrzymał się pan ani w Paryżu, ani w Madrycie?

- Nie.

- W takim razie na próżno się pan fatygował do Meksyku. Przedtem powinien się pan był zameldować u francuskiego posła w Madrycie lub u przedstawiciela rządu hiszpańskiego w Paryżu.

- Uważam to za niepotrzebne. Ale jeśli pańskim zdaniem zawiadomienie poselstwa jest konieczne, można przecież porozumieć się z przedstawicielem rządu hiszpańskiego w Meksyku.

- Jest tu wprawdzie taki urzędnik, ale jego kompetencje nie sięgają tak daleko.

- Dowiem się, czy tak jest istotnie.

- Któż panu broni? - administrator nie mógł ukryć zadowolenia, że udało mu się dokuczyć przybyszowi.

- Jestem adwokatem i znam ustawy!

- Że jest pan adwokatem, nie wątpię, ale o ustawach nie ma pan pojęcia.

- Chce mnie pan obrazić, senior?

Francuz obrzucił Hiszpania lekceważącym wzrokiem.

- Ani mi przez myśl nie przeszło, monsieur!

Spojrzenie administratora doprowadziło Corteja do wściekłości, rzekł więc ze złością:

- Ale wątpi pan w moją znajomość ustaw!

- Tak, wątpię. Pańskie przekonanie, że wystarczyłaby interwencja hiszpańskiego pełnomocnika w Meksyku, byłoby uzasadnione w czasach pokoju. Obecnie jednak toczy się wojna.

- Do kroćset, niech was diabli porwą!

- Słowa pańskie nie są zbyt uprzejme, tym razem jednak udam, że ich nie słyszałem. A więc prowadzimy wojnę. Cesarz stwierdził, że posiadłości Rodrigandów nie mają zarządcy i zarządził, by przeszły pod administrację państwową. W okresie trwania stanu wojennego mógłbym uznać pańskie pełnomocnictwo tylko w tym przypadku, gdyby mój rząd zezwolił panu na przejęcie zarządu dóbr. O pozwolenie to musi się pan postarać osobiście przez francuskiego pełnomocnika w Hiszpanii bądź też przez hiszpańskiego posła we Francji.

- A więc muszę jechać za ocean! Czy nie mógłbym jednak przynajmniej pobieżnie zaznajomić się ze stanem interesów Rodrigandów w Meksyku?

- Nie mogę się na to zgodzić.

- Posiadłościami zarządzał dotąd senior Pablo Cortejo, prawda? Co się z nim stało?

- Człowiek ten, jako buntownik i zdrajca, został skazany na banicję.

- Gdzie przebywa teraz?

- Skądże ja mogę wiedzieć? - Francuz wzruszył ramionami. - Nie jestem w żandarmerii. Zupełnie mi zresztą obojętne, gdzie on się znajduje. Uważam go bowiem nie tylko za buntownika, ale za tchórzliwego, pozbawionego czci i wiary łobuza i oszusta.

- Senior! - Cortejo stracił panowanie nad sobą.

- O co chodzi, monsieur?

- Pan znieważa Pabla Corteja! Czy ma pan na to dowody?

- Ile pan tylko zechce.

- Niech je pan tylko przedstawi.

- Panu?! - Francuz roześmiał się głośno. - Nie ma pan prawa tego ode mnie wymagać! Pańskie zainteresowanie osobą Corteja wydaje mi się dalece podejrzanym!

- Ja na niego nie rzucam bezpodstawnych podejrzeń.

- Ja także tego nie czynię. Powtarzam, że dowodów przeciwko Cortejowi mam wiele. Dowodem jest każda niemal pozycja w księgach, które prowadził, każda cyfra w nich zawarta. Oszukał hrabiego Rodrigandę na ogromne sumy. Już za te sprzeniewierzenia zasługuje na stryczek. To zaś, że zachciało mu się prezydentury, świadczy o błazeńskim szaleństwie!

- A więc Cortejo opuścił kraj?
- Tego nie wiem. Ma mi pan jeszcze coś do powiedzenia?
- W tej sytuacji nic.
- W takim razie żegnam. Adieu, monsieur!

Notariusz został sam w pokoju. Nigdy w życiu nie spotkał go podobny afront.

- Czekaj, chłopie, ja ci jeszcze pokażę! Ty, ty... - meł w ustach przekleństwa. - Przyjdzie chwila, w której odpłacę ci pięknym za nadobne!

Wyszedł z gabinetu administratora. Gdy przechodził przez pokój, w którym siedzieli urzędnicy, czuł na sobie ich ironiczne spojrzenia. Udał, że tego nie widzi. Na ulicy zapytał jakiegoś mężczyznę o adres hiszpańskiego pełnomocnika i poszedł tam natychmiast. Wpuszczono go po długim wyczekiwaniu. Ku swemu oburzeniu dowiedział się, że administrator dobrze go poinformował. Nie pozostało mu nic innego, tylko wrócić do gospody.

Landola wypoczęty, nie mógł już się go doczekać. Od razu zauważył, że kompan nie załatwił sprawy pomyślnie.

- Mam wrażenie - powiedział - że los panu nie sprzyja.
- Nie myli się pan. Pasy bym darł z tych Francuzów! - i pokrótce zrelacjonował, co mu się przytrafiło.
- Rzeczywiście wygląda to beznadziejnie - pokiwał głową Landola. - Co więc robimy?
- Musimy wypełnić trumnę don Fernanda. Zaraz potem pojedziemy do klasztoru delia Barbara.
- Ale co włożymy do trumny?

Mimo iż byli sami w pokoju, Cortejo syknął ostrzegawczo:

- Nie tak głośno. Mógłby nas ktoś usłyszeć. Pyta pan: co? Oczywiście trupa.
- Mamy więc odkopać jakiś świeży grób i zrabować nieboszczyka?
- Byłoby to szaleństwem! Niechże mi senior secretario powie, co jego zdaniem zrobią nasi wrogowie, gdy znajdą tego trupa.
- Oczywiście zaczną go badać.
- I co zauważą?

Landola obrzucił Corteja niepewnym spojrzeniem. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, zażartował:

- Zauważą przede wszystkim, że to zwłoki.
- Oczywiście - uśmiechnął się Cortejo. - Ale zaraz potem stwierdzą z łatwością, kiedy i na jaką chorobę zmarł ten człowiek.
- Do licha! Teraz rozumiem. Musimy mieć trupa mniej więcej z tego okresu, w którym pogrzebano don Fernanda.
- Skąd go weźmiemy?
- A skąd, jeśli nie z cmentarza? Dzień i rok zgonu odczytamy z nagrobków.
- Nareszcie pojął pan całą rzecz!
- A ubranie?
- Kupimy od pierwszego lepszego krawca lub handlarza.
- Musi być jednak podobne do tego, w którym pochowano hrabiego.
- Syn mój opisał mi dokładnie całą uroczystość pogrzebową. Zapamiętałem, co mówił o ubraniu hrabiego.
- I ja przypominam je sobie dokładnie. Przyniesiono mi przecież trupa" na statek w tym samym odzieniu, w którym go pochowano.
- Doskonale. Razem pójdziemy je kupować.
- Ale co zrobić, żeby nie wyglądało jak nowe?
- O to się nie martwię. Wracając z pałacu, radziłem się w tej sprawie lekarza, który jest równocześnie chemikiem.
- Do krośset! Co za lekkomyślność! Jeśli miał trochę sprytu, mógł zacząć pana podejrzewać!
- Czyżby pan przypuszczał, że byłem na tyle nieostrożny? Poprosiłem go tylko o podanie mi nazw specyfików, które zniszczyć mogą najtrwalszy materiał. Po ich zastosowaniu ubranie zmienia się w przegniłe, spadające z ciała łachmany.
- Hm, to byłoby niezłe. Ale idzie mi jeszcze o coś innego. Wieczorem czy nocą wykopimy nieboszczyka. Czy ludzie nie zauważą tego następnego dnia?
- Musimy to zrobić tak, żeby nie zauważyli.
- A jak zdobędziemy haki, łopaty, latarnie, deski i drabinę?
- Latarnie trzeba kupić, resztę znajdziemy chyba na cmentarzu. Grabarze mają zwykle schowki na narzędzia.

- Ponadto potrzebujemy kogoś, kto będzie stał na warcie, żebyśmy mogli spokojnie pracować i w razie niebezpieczeństwa uciec w odpowiednim momencie.

- Mamy tego kogoś. To pański brat.

- Dobry pomysł! Ten skończony półgłówek da się namówić, z pewnością. Nienawidzi mnie. Wyzyskując to, opowiem mu jakąś bajkę i skłonię, aby nam pomógł. Teraz śpi na podwórzu, na kamieniach. Jest pan gotów?

- Tak. Chodźmy!

Weszli do gospody. Ponieważ w mieście stacjonowało wiele wojska, na ulicach panował ożywiony ruch. Niemniej nie wyczuwało się atmosfery zwycięstwa. Ludność przeczuwała to, o czym oficerowie już wiedzieli: panowanie cesarza dobiegało kresu.

Cortejo i Landola, często rozpytując o drogę, dotarli w końcu na cmentarz w samo południe. Słońce prażyło okrutnie. Nie było żywej duszy. Weszli przez bramę i rozpoczęli poszukiwania. Bez trudu znaleźli grobowiec Rodrigandów opatrzony w żelazne drzwi.

- Czy zdołamy je otworzyć? - zaniepokoił się Cortejo.

- Musimy postarać się o narzędzia.

- Ale nie wolno nam używać wytrycha. Jak to więc załatwić?

- Przecież jesteśmy w Meksyku. Pieniędźmi można tu przekupić każdego. ?lusarza też.

Zaczęli chodzić wśród nagrobków, odczytując napisy.

- Wpadła mi pewna myśl do głowy! - zawołał Cortejo. - A gdyby się okazało, że nie ma potrzeby otwierania grobów? Widzi pan ten długi szereg grobowców?

- Zgaduję, to dobry pomysł!

- Musi się przecież w nich znaleźć choćby jeden zmarły w tym samym czasie co don Fernando. Poszukajmy. Te niesamowite sypialnie zamknięte są przeważnie żelaznymi kratami, przez które można zajrzeć do środka. Może wypatrzymy jakiś napis.

Dłuższy czas kręcili się wśród grobowców. Wreszcie Cortejo stanął przed jedną z krat i wykrzyknął:

- Czytaj, senior secretario! Tam, na tylnej ścianie.

Landola spojrział przez kratę. W grobowcu leżało wielu zmarłych. ?wiadczyła o tym liczba płyt z napisami.

- Myśli pan o tej płycie na górze? - zapytał. - Hm. Zmarły był bankierem. Miał czterdzieści siedem lat. Umarł przed osiemnastu laty.

- W sam raz.

- Ale jak znaleźć jego trumnę?

- Niech pan poczyta inne napisy. Landola spełnił polecenie.

- Ten bankier - powiedział - jest ostatnim truposzem, którego tu pochowano. Zwłoki jego są zapewne lepiej utrzymane...

- ...i będzie je można bardzo łatwo odszukać. Tylko czy potrafi pan zachować w podziemiach zimną krew?

- Do licha! Uważa mnie pan za tchórza?!

- Jest wielka różnica między walką z wrogiem a zejściem po ciemku do podziemi, dotknięciem trupa, rozebraniem go, włożeniem na niego innego ubrania...

- Wszystko mi jedno, czy ubieram żywego czy umrzyka. Nie przestraszyłbym się, gdyby to nawet był sam diabeł! Przeciwnie, gdyby się zerwał na równe nogi, poprosiłbym go o przypalenie papierosa. Jeżeli więc chodzi o mnie, może pan być spokojny. To pan niech trzyma nerwy na wodzy, aby mi ze strachu nie uciekł!

- Nie takie rzeczy widziałem! A pański brat?

- On tego wcale nie zobaczy. Będzie stał na warcie przed grobowcem. Nie powinien nawet wiedzieć, co robimy w środku.

Powiemy mu tylko to, co uznamy za stosowne. No, teraz rozejrzyjmy się za drabiną!

Znaleźli ją pod murem cmentarza, gdzie grabarz zwykł był przechowywać narzędzia. Załatwiwszy na cmentarzu wszystko, co zaplanowali, wrócili do gospody. Po drodze kupili odpowiedni przydziewek.

Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, zamówili obiad do pokoju. Kazali podać trzy nakrycia, gdyż Grandepriise obudził się tymczasem. Nie ucieszyły go wyszukane dania. Widać było, że jest w nie najlepszym humorze. Gdy Landola zapytał o przyczynę, mruknął:

- Niech się diabeł raduje, master, ja nie mogę! Nudno w tej dziurze! Co mam robić? Spać? Też mi przyjemność!

- Nudzi się pan? Niech więc pan zwiedzi miasto.

- Znam je bardzo dobrze. Chciałbym już być w Santa Jaga.

- Gdy tylko załatwimy sprawy, natychmiast ruszamy. Moglibyśmy zrobić to już jutro rano. Ale z powodu pewnych przeszkód chyba to się odwlecze. Mamy jednak nadzieję, że uda nam się znaleźć człowieka, któremu będziemy mogli zaufać.

Grandepriise spojrział na Landolę badawczym wzrokiem.

- Szukacie zaufanego człowieka? Do krośset, więc do mnie już nie macie zaufania?!

- Hm! Tak i nie. Chodzi o wielką tajemnicę.

- Interes handlowy?

- Nie.

- A więc o co?

Landola udawał, że się namyśla.

- No dobrze. Powiem panu. Być może, senior, gdyby tylko zechciał, przydałby się nam. Ale... ale...

Grandeprise ściągnął ponuro brwi.

- Żądani podania przyczyny, dla której nie chcecie mi powierzyć tej tajemnicy!

- Jest pan bowiem przyjacielem człowieka, który... Ach, zagalopowałem się!

- Czym to jestem przyjacielem? Mówże pan wreszcie!

- Landoli... A to jego chcemy zniszczyć.

- Ja przyjacielem Landoli? - zacisnął pięści i uderzył w stół tak mocno, że szklanki podskoczyły. - Od kilkunastu lat uganiam się za nim jak szatan, który szuka niewinnej duszy!

Prawie syczał z wściekłości. Landola doznał niesamowitego uczucia, nie zdradził się jednak, przeciwnie - udawał, że jest zachwycony.

- Jakie szczęście, że znajdujemy w panu sprzymierzeńca!

- Naprawdę chcecie się do niego zabrać? Nie oszukujecie mnie? Zrobię wszystko, aby wam pomóc!

Dla zachowania pozorów Landola spojrział pytająco na Corteja. Ten skinął głową i rzekł poważnym tonem:

- Sądzę, że możemy zaufać Grandeprise'owi. Wygląda na uczciwego człowieka. Wierzę, że nie wywiedzie nas w pole.

- Ja miałbym was wywieść w pole?! Ja?! Seniores, wystawcie mnie na próbę, a przekonacie się, że można na mnie liczyć!

- Więc dobrze - powiedział Landola. - Chodzi o mały spacer na cmentarz.

- Idę z wami.

- Nawet w nocy?

- Wszystko mi jedno. Co będziemy robić na cmentarzu?

- Chcemy tam znaleźć potwierdzenie pewnego szelmstwa Lan-doli. Czy wiadomo panu, że dawno temu mieszkał on tu, w stolicy? I miał kochankę?

- Biedna dziewczyna. Lepiej by jej było w małżeństwie z diabłem!

- Nie wyszła za mąż ani za diabła, ani za Landolę. Poślubił ją inny, nie mniej okrutny niż tamci dwaj, kochanek... śmierć!

- Do krośset! Umarła? A raczej musiała umrzeć?

- Tak przypuszczam. Wiedziała, kim jest Landola. A kiedy stała mu się zawadą i chciał ją opuścić, postanowiła go zadenuncjować. Na drugi dzień już nie żyła.

- On ją zamordował?

- Bez wątplenia. Ta dziewczyna była moją bratanicą. Podejrzewając przyczynę jej zgonu, wezwałem kilku lekarzy. Oświadczyli po skrupulatnym badaniu, że śmierć spowodował atak apopleksji...

- Pan w to jednak nie uwierzył, prawda? Bo poprzedniego wieczora Landola był u niej. Doszło do sprzeczki, a rano znaleziono ją martwą. Czyż nie tak?

- Tak. Ale po werdykcie lekarzy zwolniono tego łotra z tymacza-sowego aresztu, mnie zaś ukarano za bezpodstawne oskarżenie. Od tej chwili stałem się obiektem nieustannych prześladowań Landoli i jego ludzi. Popadłem w biedę. Dzieci mi poumieraly - trudno ustalić przyczyny - żona też zesłała do grobu. Po każdym z tych nieszczęść zjawiał się Landola. Znienawidziłem go. Wiedząc, że na drodze sądowej niczego nie osiągnę, poprzysiągłem sobie, że zemszczę się na nim wcześniej czy później.

- Co za zbieg okoliczności! Zupełnie jakbym słyszał swoją historię!

- Staralem się go odnaleźć, na próżno. Mijały lata. Dowiedziałem się, że łączą go bliskie stosunki z Gasparinem Cortejem. Pojechałem do Hiszpanii, zostałem sekretarzem seniora Yeridante. Cortejowi nawet do głowy nie przyszło, że wysyłając nas do Meksyku, umożliwia mi spotkanie z moim śmiertelnym wrogiem! W Santa Jaga Landola stawi się na pewno. Wysłano do niego specjalnego gońca. Przedtem jednak chciałbym odnaleźć zwłoki bratanicy. Różne myśli krążą mi po głowie na temat jej śmierci. Czy orientuje się pan, w jaki sposób można w ciągu kilku sekund zabić kobietę o długich, bujnych włosach, nie zostawiając na jej ciele żadnych śladów?

- Nie. Ale co włosy mają do tego?

- Zakrywają ślady.

- Opowiadano mi kiedyś o takim wypadku. Pewna kobieta wbiła w głowę swego śpiącego męża gwóźdź...

- No właśnie. Gwóźdź bez główki. Zasłoniły go włosy.

- Chcecie więc zbadać dokładnie trupa pańskiej siostrzenicy?

- Tak.

- Na cmentarzu, nocą? W tajemnicy przed ludźmi? Dlaczego nie w dzień, nie publicznie?

- Niech Bóg broni! Aresztowano by nas i ukarano za zbeszczesz-czenie zwłok. Chce nam pan pomóc?

- Co mam robić?

- Tylko stać na straży i mieć oczy szeroko otwarte. Jeżeli moje podejrzenie się potwierdzi, ruszamy rano do Santa Jaga i schwytemy mordercę.

- Zgoda. Oby już był ten wieczór!

Chcąc sobie skrócić czas oczekiwania znowu położył się na dziedzińcu i zasnął. Tymczasem Cortejo wyszedł do miasta. Wrócił wkrótce z mnóstwem kluczy. Gdyby za ich pomocą nie udało się otworzyć grobowca, postanowił wyważyć drzwi.

- Ten Grandepriese to skończony dureń, wszystko można mu wmówić! - szydził Landola.

- Nie jest podejrzliwy. Więcej nawet: to rzadki pokaz łatwowierności. Pańska opowieść była w wielu miejscach bardzo nieprawdopodobna. Mniejsza zresztą z tym. Ważne, że mamy wartownika!

Zapadł zmrok, na niebie ukazały się gwiazdy. Zjadłszy kolację, cała trójka opuściła oberżę około jedenastej. Nie zwróciło to niczyjej uwagi, w stolicy bowiem do późnej nocy spacerowano lub spędzano czas na festynach i zabawach. Kiedy przyszli na cmentarz, Grandepriese został przy bramie, a Cortejo i Landola zabrali się do roboty. Wszystko poszło składnie. Po niedługim czasie przynieśli zwłoki bankiera przed grobowiec Rodrigandów.

Stanęli przy schodach prowadzących na dół.

- Musimy się spieszyć. Nasz myśliwy z prerii nudzi się już zapewne.

- Albo zachodzi w głowę, dlaczego tak długo nas nie ma.

- Myśli pewnie, że szukamy gwoździa!

Cortejo bezskutecznie starał się otworzyć bramę, po kolei przymierzając do zamka klucze. Wziął więc dłuto i napierał nim na klamkę.

- Santa Madonna! - szepnął przerażony. - Drzwi są otwarte.

- Chyba się panu wydaje!

- Niech pan sam sprawdzi!

Podszedłszy bliżej, Landola przekonał się, że tak jest w istocie.

- Do diabła! Na dole nie ma chyba nikogo?

Cortejo otworzył drzwi na oścież i zaczęli nasłuchiwać. Było zupełnie cicho.

- Widocznie otworzył pan drzwi jakimś kluczem i nie zauważył tego. Ot i cała tajemnica!
- roześmiał się Landola.

- Niemożliwe, żebym tego nie zauważył!

- A jednak tak się stało. Strach ma wielkie oczy! Nie panuje senior nad nerwami.

- Może. W każdym razie posłuchajmy jeszcze chwilę.

Panowała cisza. Nie rozległ się żaden, najłżejszy nawet szmer...

- Niepotrzebnie tracimy czas. Pora zejść na dół! - niecierpliwił się Landola.

- Tylko ostrożnie. Najpierw bez zwłok.

- No dobrze. Światło!

Cortejo zapalił latarkę. Zamknęli za sobą drzwi i zaczęli schodzić. Szli cicho jak duchy. Landola pierwszy, za nim Cortejo. Szybko dotarli do wnętrza grobowca, nie zauważywszy nic podejrzanego.

- Poświeć pan dokoła! - poprosił Landola. I tu wszystko było w porządku.

- No i widzi pan, miałem rację - cieszył się Landola. - Otworzył pan drzwi jednym z kluczy. Teraz możemy przystąpić do dzieła. Gdzie trumna don Fernanda?

- Tu - Cortejo wskazał trumnę, na której widniał napis wyryty złotymi literami: DON FERNANDO hrabia de Rodriganda y Sevilla

- Trumna jest oczywiście pusta? - upewnił się Landola.

- Niestety. Wolałbym, żeby w niej leżał zmarły. Ciekawe, czy postąpiłby pan teraz tak, jak się przechwalał, i poprosił o przypalenie papierosa, gdyby trup wstał z grobu.

- Uczyniłbym to, senior Cortejo.

- Nie wierzę, senior Landola! W każdym razie nie w tym przebraniu. Bez przebrania i maski stałby pan jak mur, tego jestem pewny, bo diabeł cię zna i wiedziałby, że nie uciekniesz. Ale na widok pańskiej zamaskowanej twarzy chwyciłby pana z pewnością za kołnierz.

- Tak pan sądzi? - uśmiechnął się Landola. - Spróbujmy podnieść wieko. Niech się diabeł ukaże!

Chwycili wieko, nie zwracając uwagi, że dziwnie lekko się podnosi. Po chwili obaj wydali okrzyk przerażenia, a oczy mało im z orbit nie wyszły. W trumnie leżała długa postać; jej ogromny nos przypominał dziób sępa.